

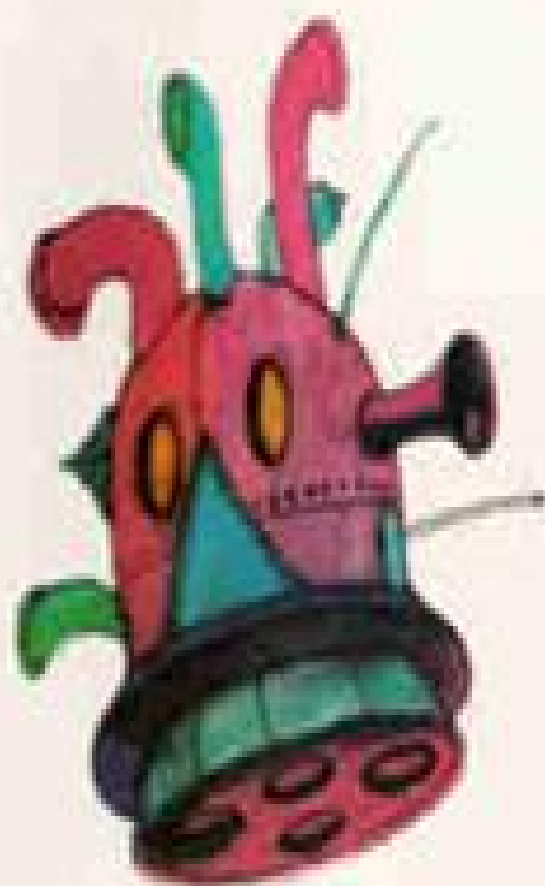
STAŁO SIĘ JUTRO

opowiadał fantastycznych i ich animacja

MANEKIN



Jack Swartzkewicz — Admiral
Douglas Westra
— Karina
John
Stothardson
— Corbett
— Manekin



Stało się jutro

Manekin

Opowiadań fantastycznych zbiór osiemnasty

Jacek Sawaszkiewicz

Admirał Douglas Westrex

Od autora

Przed rokiem na łamach niniejszego tygodnika zrelacjonowałem przebieg akcji „Przybysz”, której stałem się — dzięki dosyć zawilemu splotowi wydarzeń — mimowolnym bohaterem. Nastąpiło to w okresie, gdy do Układu Słonecznego wtargnął zrazu nie zidentyfikowany obiekt. Obcy wylądowali na Ziemi, po czym włamali się kolejno do magazynów sprzętu elektronicznego i Przechowalni Paliw Jądrowych, rabując elektrocjonalia oraz niezbędne do kontynuowania lotu paliwo. Admiralicja Royal Cosmos Force wyekspediowała mnie w maszynie XHH 164 typu „Starflash” na pokład orbitującego obiektu. Dotarcie do jego wnętrza było podstawowym zadaniem akcji „Przybysz”. Jak wiadomo z mojej relacji, zadanie to zostało wykonane, w efekcie czego specjaliści RCF ustalili, że obiekt jest ziemskim statkiem międzygwiazdowym wysłanym blisko 180 lat temu w okolice Centaura, noszącym nazwę „Audax”. Dokładny opis akcji „Przybysz” czytelnicy znajdą w poprzednim roczniku niniejszego tygodnika.

Relacja moja, która w zamyśle miała być zwykłym reportażem o charakterze sensacyjno-rozrywkowym, nieoczekiwanie przyczyniła się do nowego powszechnego i wzmożonego zainteresowania sprawami kosmosu. Rezygnując ze skromności odważyłem się sformułować twierdzenie, że mój reportaż, a zwłaszcza rozdziały: pierwszy i drugi, gdzie napisałem o zaniechaniu eksploracji kosmosu i o upadku dawnej świetności Akademii Royal Cosmos Force, zreorganizowanej i ograniczonej do sekcji, szkoleniowej — zgorszyły i przede wszystkim zbulwersowały opinię publiczną. W licznych krajowych periodykach pojawiły się artykuły, których autorzy analizowali status quo Royal Cosmos Force i usiłowali znaleźć winnych. Padły ostre zarzuty i domagano się zmian administracyjnych. „Czy to możliwe — zapytywał publicysta „Economy” — by w dobie ogólnego rozwoju i ekspansji naukowo-technicznej zredukować budżet i zminimalizować plany tak istotnej dziedziny naszej gospodarki, jak kosmogeologia stosowana?” Pytanie zasadnicze.

Stałem się mimowolnym bohaterem akcji „Przybysz” — napisałem na wstępie. Stałem się także mimowolnym sprawcą silnego wzburzenia czytelników, które trafiło rykoszetem w niewzruszone — zdawałoby się — fundamenty Royal Cosmos Force i wstrząsnęło nimi. Na wszystkich niemal szczeblach Sił nastąpiły spore przesunięcia służbowe i choć od tamtej pory minął niecały rok, mamy prawo mówić o pomyślnym rozwoju działalności RCF. Admiralicja ocknęła się z długiego snu, wszelako ani na indagacje resortów wyrażających chęć współpracy z Royal Cosmos Force i dziś już z Siłami współpracujących, ani na pytania dziennikarzy nie udzieliła żadnych odpowiedzi. Po trosze z obowiązku, jako że to z moich rąk wypadł ów kij, co utkwiał w mrowisku, po trosze z ciekawości zawodowej i względów ambicjonalnych umyśliłem podjąć próbę wyjaśnienia zagadkowego marazmu, w który swego czasu na szereg lat popadła Admiralicja, a z nią Siły. Reportaż pt. „Admirał Douglas Westrex” jest właśnie efektem rzeczony próby.

I. Franklin Milady

Kontradmiral Franklin Milady mieszka 36 mil przed Ouondamon, w Beville. Jego domek stoi ćwierć kilometra od Autostrady Północ–Południe, w rzędzie domków oddzielonych od siebie przestrzeniami nieużytków. W latach rozkwitu Royal Cosmos Force zamierzano zbudować tu osiedle willowe dla kadry RCF. Reorganizacja Sił sprawiła, że porzeczano na pierwszym etapie budowy. Beville jest dzisiaj miejscem smutnym, pozbawionym własnego zaplecza handlowo–usługowego, zda się — opuszczonym, mimo że mieszka tutaj kilkadziesiąt rodzin. Niemniej miły to i spokojny zakątek, i nawet w tym wrażeniu smutku, który wzmagają napływające z nieodległych torfowisk opary, doszukać się można uroku.

Do Beville przyjechałem w bezbarwne wiosenne przedpołudnie (niestety, i wiosną bywają takie dni) z zamiarem porozmawiania z Miladym. Było to po fali ataków prasy przeciwko polityce Admiralicji RCF.

Samochód zaparkowałem na podjeździe i z nowym numerem „Globe’a” w garści przestąpiłem próg domku kontradmirala Milady’ego. Drzwi otworzył mi poczciwy, stary robot, weteran jednej z wcześniejszych wypraw międzygwiazdnych, po której został mu na piersi emblemat z nazwą statku: „Deltus”. Rzuciłem mu w ramiona prochowiec i zawołałem w głąb mieszkania:

— Melduje się Seymour Lutz, panie admirale!

Odpowiedziało mi szurnięcie przesuwanego po dywanie fotela. Kontradmiral Milady niedźwiedzim krokiem wyszedł z gabinetu. Miał na sobie brązowy szlafrok i był w kapciach.

— Lutz? — zapytał.

— Przepraszam za to najście — powiedziałem.

Machnął ręką.

— Wejdz, niech ci się przyjrzę.

Pomogłem robotowi podnieść z podłogi prochowiec, którego ta niezgrabna, rozstrojona maszyna nie zdążyła, naturalnie, złapać w locie, i wszedłem za Miladym do gabinetu. Uścisnęliśmy sobie dłonie, kontradmiral zbadał wzrokiem moją twarz.

— Lutz, wyglądasz pierwszorzędnie.

Upłynęło zaledwie dziesięć miesięcy od ostatniego naszego spotkania, ale przez ten czas Milady mocno się posunął. Jakby wraz z przejściem w stan spoczynku zwolnił hamulce biologicznej starości, która oto na gwałt wyrównywała różnice między jego wyglądem a wiekiem.

— Niedawno uprzytomniłem sobie, że stuknęło mi sześćdziesiąt jeden lat — powiedział.

Odgadł moje myśli, czym mnie speszył. Przeciągnął palcami po swych rzednących i już zupełnie siwych włosach ostrzyżonych na jeża i wskazał mi kanapę pod ścianą.

— Usiądź. Zaparzę dobrą herbatę.

— Jeżeli wolno pogrymasić — rzekłem — zamówiłbym coś chłodnego.

Milady poczłapał do kuchni. Usiadłem i rozejrzałem się po gabinecie. Znałem to wnętrze z autentycznym mahoniowym biurkiem przy oknie i zwalistymi szafami bibliotecznymi. Ubiegłego lata wertowałem tutaj roczniki „Daily Express” sprzed niemal dwustu lat. Leżały teraz na swoim stałym

miejscu: w regale trzecim od lewej, na dole.

Z kuchni dobiegł mnie brzęk tłuczonego szkła i znajome przekleństwo: „Akrofobia tego cholere!”. Po minucie do gabinetu wszedł Milady z dwoma kufelkami zimnego piwa.

— Szlag trafił jedną z moich dwudziestowiecznych szklanek — oznajmił kwaśno. — Nie do wiary, jak kruche produkowano ongiś przedmioty.

Usiadł obok, na kanapie. Krytycznie zlustrował swoje nagie stopy.

— Sześćdziesiąt jeden — powtórzył. — Od bez mała siedmiu lat mógłbym być pod kapeluszem. Puściłem tę uwagę mimo uszu. Skoro przedłużono mi służbę, musiał o to zabiegać. I z pewnością zabiegał, zależało mu bowiem na przejściu do cywila w stopniu kontradmirała. Nic dziwnego, że Milady tyle energii poświęcił akcji „Przybysz”. Tylko jej powodzenie dawało mu prawo do wyższej emerytury. Wypiliśmy po łyku piwa i powiedziałem:

— Czterdzieści, sześćdziesiąt, osiemdziesiąt lat... jaka to różnica? Problem starości przestał istnieć. Dzisiaj wystarczy wizyta w salonie cybiofikacji kosmetycznej, żeby z dziadygi przeobrazić się w młokosa.

Milady pokręcił swą stożkową czaszką.

— Problem starości jest problemem uniwersalnym i ponadczasowym — odparł. — Decydującym czynnikiem nie jest tu wygląd człowieka, lecz stan jego psychiki, a psychicznych protez jeszcze nie wynaleziono. Nie zniósłbym siebie w skórze żółtodzioba; nawet myśl, żeby odjąć sobie pięć lat, jest dla mnie żenująca.

Znowu rozczesał palcami włosy, z mdłym uśmiechem.

— Nie, Lutz, życia nie oszukasz. A ja na dodatek chcę być uczciwy, jeśli nie wobec otoczenia, które mnie zresztą mało obchodzi, to przynajmniej wobec siebie. Nie potrafię ci tego przekonująco wytłumaczyć; jak będziesz w moim wieku, sam to zrozumiesz.

Wtuliłem plecy w miękkie oparcie kanapy i wyprostowałem nogi. Milady opróżnił swój kufel. Ponownie obrzucił moją twarz sondującym spojrzeniem.

— Ale co u ciebie? — zagadnął. — Dochodzą mnie słuchy, jakobyś ściągnął burzę na szacowne głowy rządzące Admiralicją.

Wyjąłem z kieszeni złożony we dwoje miesięcznik i rozprostowałem go. Na środkowych stronach „Globe’a” publicysta używający pseudonimu „td” opublikował felieton zatytułowany „Hibernacja orbitalna”. Ów zoil sugerował, że zastój w Royal Cosmos Force był wynikiem niskiej temperatury panującej w kosmosie, która powodowała, iż załogi „Starflashy” po wydostaniu się na orbitę zapadały w swego rodzaju zimowy sen.

Milady przebiegł wzrokiem tekst i zachichotał.

— Zdrowo im dosunął — stwierdził.

— Nie on jeden — powiedziałem. — Obecnie krytycy nie szczędzą aluzji, przytyków i złośliwości. Po zeszłorocznych próbach solidnych analiz nie pozostało natomiast śladu. I nikt nie umie wyświecić przyczyn tej zatrważającej stagnacji w Siłach. Nie umie albo nie chce. Wstałem i odstawiłem kufelki na biurko. Przespacerowałem się w tę i z powrotem.

— Nie można tego skwitować ironią. Nie można.

Kontradmirał przyglądał mi się z niejaką troską.

— Jesteś pewny, że to robota właśnie dla ciebie?

W odpowiedzi oddałem się głośnym dywagacjom:

— Rozwaliłem się „Starflashem” szesnaście lat temu i zaraz po wypadku wróciłem do cywila. W rok później zlikwidowano 60 procent etatów w Siłach, pozostałą część Royal Cosmos Force zreorganizowano. W ramach tej reorganizacji pan, panie admirał, został przeniesiony ze stanowiska

dowódcy 19 Eskadry na stanowisko zastępcy dowódcy Ośrodka Szkoleniowego RCF do spraw technicznych. W Admiralicji nastąpiły znaczne przesunięcia kadrowe. Mnóstwo ludzi przedwcześnie odesłano na emeryturę, niektórzy oficerowie zajmujący dotąd niskie stanowiska raptownie awansowali, ci z wyższych nagle przestali się liczyć... — stanąłem pośrodku gabinetu. — Wszystko to wydarzyło się w ciągu roku od dnia, kiedy szefostwo Admiralicji Royal Cosmos Force objął admirał Douglas Westrex...

— Miłociwie nam panujący — przerwał mi Milady. — Nie wyciągaj pochopnych wniosków, Lutz. Kierownictwo Admiralicji jest rzeczywiście do jakiegoś stopnia jednoosobowe, ale decyzje o programie i zakresie działania Sił czy o zmianach struktury organizacyjnej erceefu zapadają na szczeblu rządowym i zależą od grupy osób, spośród których szef Admiralicji nie wyróżnia się bynajmniej żadnymi szczególnymi przywilejami.

— Zastanawiający to jednak zbieg okoliczności.

Milady wstał, postawił swój pusty kufel obok mojego i przysiadł na kancie biurka.

— Boję się, że bierzesz skutek za przyczynę — powiedział. — Wybór Douglasa Westrexa na szefa Admiralicji mógł być wstępnym etapem z góry i przez kogoś innego zaplanowanej reorganizacji Royal Cosmos Force.

— Mógł być — zgodziłem się — ale nie musiał.

Gdy wymieniłem nazwisko Westrexa, coś mnie tknęło. Przypomniałem sobie stare plotki na temat błyskotliwej kariery nic nie znaczącego niegdyś oficera sztabowego. Zawahałem się przed kolejnym pytaniem:

— Douglas Westrex... co to właściwie za człowiek?

Kontradmirał wepchnął dłonie w kieszenie szlafroka i poruszył barami.

— Rozmaicie o nim mówią — odrzekł. — Ja go widziałem zaledwie dwa razy, a i to przelotnie. Inteligentny choleryk. Kiedyś zgadaliśmy się o nim z Josephem Formannem. Słyszałeś o Formannie? Dawniej był cenionym neurochirurgiem; oprócz Zenda nikt nie miał tak pewnej ręki jak on. Teraz możesz go spotkać w którymś z tych barów, gdzie podają piwo wzmocnione whisky. Za jedną kolejkę uraczy cię masą różnych ciekawostek.

— Mianowicie? Milady zmarszczył czoło.

— Było to tuż po objęciu przez Westrexa szefostwa Admiralicji. Pan admirał pofatygował się do Formanna i zażądał protezy. Protezy mózgu. Nie dał sobie wytłumaczyć, że żąda niepodobieństwa. Poniosło go i zelżył Formanna. „A od czego tu jesteś, konowale?! — wrzeszczał. — Precyzja! Precyzja myślenia! Muszę precyzyjnie myśleć!” „To kup se komputer, baranie!” — odparł Formann...

Kontradmirał sapnął.

— Szkoda chłopca — rzekł. — Wałęsa się teraz po barach w Decksance i wypatruje kogoś, kto mu fundnie szklankę tego piorunującego piwka. Łatwo go odnajdziesz.

— Nie wiem. Chyba pojedę wprost do Admiralicji.

Milady obdarzył mnie nieprzeniknionym spojrzeniem.

— To administracyjna dżungla, Lutz — powiedział. — Oni nie cierpią dziennikarzy.

Zamilkł. Milczałem i ja. Było cicho, tylko przekaźnik w stareńkim elektrycznym zegarze na szafie bibliotecznej postukiwał rytmicznie.

— Będę się zbierał — oznajmiłem.

— Ale bądź ostrożny. I gdybyś miał kłopoty, porozum się ze mną. Mimo że przeszedłem na emeryturę, utrzymuję dawne znajomości.

— Dziękuję panu, admirale.

II. Douglas Westrex

Prosto od Milady'ego wyruszyłem do stolicy. Na miejsce dotarłem wieczorem. Po drodze, po obiedzie, który zjadłem w motelu „Renewal”, skomunikowałem się z Elič. Tak jak umówiliśmy się przed laty, każde z nas niezmiennie nosi przy sobie miniaturowy radiowifon i jest dla drugiego zawsze osiągalne, lecz nie nadużywamy tej formy kontaktu. Żona programowała jakieś swoje urządzenie kuchenne. Była zaaferowana zbliżającą się sesją egzaminacyjną i z zadowoleniem przyjęła wiadomość, że na kilka dni uwalniam ją od mego towarzystwa. — Dobrze się składa — wyszczebiotała. — Będę mogła spokojnie powtórzyć materiał ze studentami. Chcę, żeby zdali lepiej niż w minionym roku.

Uśmiechnąłem się do rubensowskiej buźki widniejącej na małym ekraniku.

— Przypilnuj też Alberta — powiedziałem. — Chłopak zanadto się rozhulał.

Elič zrobiła niewinną minę. Zwykle tak postępuje, gdy — jak powiada — „zbiera mi się na ojcowską tyradę”.

A zbierało mi się coraz częściej, Albert bowiem zaniedbywał naukę. Elič, chociaż pedagog i z wykształcenia psycholog, z chroniczną macierzyńską ślepotą bagatelizowała problem.

Niebywałe, jak ludzie, gotowi udzielać każdemu uczonych porad, wymagający od otoczenia rygorystycznego przestrzegania nakazów i zakazów, są w stosunku do siebie i swych najbliższych niefrasobliwi i tolerancyjni.

Do stolicy dotarłem więc wieczorem. Zatrzymałem się w hoteliku opatrzonym niewyszukanym szyldem „Pillow”.

W rzeczy samej jest to hotelik mało atrakcyjny, ma wszakże jedną zaletę: stoi nie opodal gmachu Admiralicji Royal Cosmos Force. W dzielnicy tej, niezamożnej i oddalonej od centrum, przeważa niska zabudowa. Niedużo tutaj sklepów i na ogół tam, gdzie najmniej można się ich spodziewać: zakładziki usługowe poutykane na zapleczach domów, pustawe jezdnie, wyludnione chodniki i kiepskie oświetlenie uliczne. Cicho tu, wręcz smętnie, wszelako w dzień, kiedy w gałęziach rosnących między budynkami drzew i krzewów kipi życie, kiedy powietrze przenikają kuchenne i kwietne zapachy, kiedy z otwartych okien dobiega muzyka, śmiech, słaby hałas pracującego domowego sprzętu, podniesiony głos matki — dzielnica ta nabiera niepowtarzalnego uroku, jakby z poprzedniego stulecia. Nad tym sielskim krajobrazem góruje aluminiowo-szklany graniastosłup: dwudziestoośmiopiętrowy gmach Admiralicji.

Wkroczyłem doń nazajutrz o dziewiątej. Sierżant z biura przepustek podejrzliwie obejrzał moje dokumenty. Znam zależności służbowe i układy personalne w RCF, przeto bez ryzyka zełgałem mu, że jestem z admirałem Douglasem Westrexem umówiony w poufnej sprawie. Prawidłowo wyszkolony podoficer Sił prędkiej by trupem padł, niżby zweryfikował taką informację narażając się na ściągnięcie na siebie gniewu zwierzchnika.

Przez wąski trzymetrowy korytarzyk, w którym dyskretna aparatura skontrolowała, czy nie mam broni, przedostałem się do holu, gdzie czekał już adiutant. Razem wsiedliśmy do windy, aby po przejechaniu dwudziestu pięciu pięter pójść korytarzem w prawo i trafić do pokoju z numerem 2501.

Tutaj adiutant służbowo skinął mi głową, po czym zostawił mnie sam na sam z dwiema osobistymi sekretarkami szefa Admiralicji.

Obie śmiertelnie znudzone panienki popatrzyły na mnie z antypatią. Pomijając już sadyzm objawiający się szukaniem złośliwej satysfakcji w odprawianiu interesantów z kwitkiem, muszą mieć tego rodzaju urzędniczki jakieś skłonności do masochizmu. Ja, jako urzędnik–sadysta nękany nudą, przed spławieniem interesanta najpierw bym z nim pogadał, aby zabić czas, sekretarki zaś wołały nie przerywać samoudręczenia, gdyż zaczęły chórem i pośpiesznie:

— Niestety, pan admirał...

Przerwałem im.

— Wiem. Pan admirał ma gości, ma ważną konferencję, jest nieobecny, wyjechał na tydzień, wróci za rok, mimo to proszę mnie zaanonsować. Nazywam się Seymour Lutz. Komandor podporucznik rezerwy.

Panienka siedząca przy obitych skórą drzwiach zagapiła się na mnie zdetonowana. Powoli przeniosła wzrok na swoją koleżankę. Potem wydeła usta, poruszyła wzgardliwie ramieniem i powiedziała:

— Skoro to takie pilne...

Admirał Douglas Westrex przyjął mnie natychmiast.

Wszedłem do gabinetu o powierzchni dwóch arów z okładem. Z niskiego plafonu zdobionego motywami roślinnymi zwieszał się muzealny żyrandol. Białe stiukowe ściany pokrywała półtorametrowej wysokości brązowa boazeria, podłogę zaścierał gruby dywan — znakomita imitacja starego rękodzielnictwa wschodniego. Biurko, którego projektant ani chybi czerpał natchnienie z Art Nouveau, znajdowało się w głębi gabinetu, niemal w rogu, obok ciężkiej, ciemnoorzechowej szafy. Dwa rzędy obrotowych foteli o tapicerce dobranej do kolorystyki dywanu otaczały błyszczącą politurą konferencyjną ławę ustawioną wzdłuż ściany, przy drzwiach. Wiszący nad biurkiem imponujących rozmiarów jesienny pejzaż dopełniał wyposażenia gabinetu. Milady ze swoim umiłowaniem antyków byłby zachwycony widokiem tej wprost pałacowej komnaty.

Admirał stał przed panoramicznym oknem — jedynym nowoczesnym akcentem w tym ucharakteryzowanym na zabytkowe wnętrzu. Oparty o ramę spoglądał na miasto. Gdy wszedłem, bez pośpiechu wyprostował się i popatrzył na mnie ciekawie. Był słusznego wzrostu i słusznej budowy. Miał na sobie ubranie cywilne.

— Komandor podporucznik rezerwy Seymour Lutz — przedstawiłem się.

Postąpił krok w moją stronę i uczynił zapraszający gest. Grzęznąc po kostki w dywanie, przemierzyłem po przekątnej gabinet.

— Witam pana, komandorze — powiedział Douglas Westrex i podał mi rękę.

Miał faliste, siwe włosy, regularne rysy i rzymski profil — co rzuciło mi się w oczy zaraz po wejściu tutaj. Wszystko w jego twarzy harmonizowało ze sobą; była to twarz bezsprzecznie urodziwa, ale jednocześnie coś nieuchwytnego nadawało jej wyraz nadmiernej godności, aby nie rzec: odpychającej dumy. Może przyczyną była pionowa zmarszczka nad nosem, może wgłębienie w brodzie, a może kształt doskonale wykrojonych, lecz surowych ust. Uścisnąłem chłodną, kościstą dłoń.

— To miłe, że znalazł pan dla mnie czas — oświadczyłem. Przyszedłem tu bez specjalnego powodu, nie przygotowałem też konkretnych pytań. Chciałem po prostu ujrzeć człowieka, za którego rządów Admiralicja Royal Cosmos Force uległa metamorfozie. Chciałem także poznać jego opinię (na wyjaśnienia nie liczyłem) o podstawach kryzysu nękającego przez piętnaście lat RCF.

— Nie znoszę dziennikarzy — wyznał uczciwie. — Ale pan jest przede wszystkim oficerem Sił.

— Jestem obywatelem naszego kraju — odrzekłem. — Obywatelem, którego społeczeństwo obdarzyło zaufaniem i od którego oczekuje rzetelnych informacji.

Z lekka uniósł brodę.

— Ach — mruknął.

Wskazał mi jeden z obrotowych foteli, sam założył ręce do tyłu i przespacerował się po gabinecie. Czoło trzymał wysoko i był zamyślony. Spoglądając na niego zastanawiałem się, czy rzeczywiście ma on dopiero pięćdziesiąt pięć lat, wyglądał bowiem na mężczyznę siedemdziesięcioletniego. Nie jest tajemnicą, że multum ludzi, zwłaszcza starzejących się kobiet, korzysta z usług salonów cybiofikacji kosmetycznej, w związku z czym niejeden lowelas po zerknięciu w dokumenty uwiedzionej właśnie kochanki spłonął gwałtownym rumieńcem; w przypadku admirała Westrexa natomiast odnosiło się wrażenie, że przebył on cybiofikację postarzającą.

— Jest pan postacią niewątpliwie popularną — powiedział. — Pańska relacja z przygotowań do akcji „Przybysz” i z jej przeprowadzenia wywołała wśród społeczeństwa nie obserwowane dotąd zainteresowanie kosmosem.

Stwierdził to beznamiętnie i nie wiedziałem, co naprawdę o tym sądzi. Odpowiedziałem ostrożnie:

— Jeżeli wolno mi zgrzeszyć zarozumiałością, dodam, że moja relacja wpłynęła też na znaczne ożywienie w działalności Royal Cosmos Force i spowodowała, że Admiralicja zaczęła przywracać dawną świetność podległym jej jednostkom.

Douglas Westrex przerwał wędrówkę i zatrzymał się naprzeciwko mnie. Stał tak, opanowany i wyniosły niczym rzymski patrycjusz, dłuższą chwilę.

— Rodzi się więc pytanie — ciągnąłem odważniej — dlaczego Admiralicja pozwoliła, żeby Siły przez piętnaście lat marniały w zaniedbaniu.

Było to śmiałe oskarżenie i usprawiedliwiłoby ostrą reakcję Westrexa. Admirał atoli pozostał niewzruszony.

— Jestem zdania — odrzekł spokojnie i nawet jak gdyby życzliwie — że najlepiej będzie, jeśli na to pytanie spróbuje pan osobiście znaleźć odpowiedź.

— Zatem zezwala mi pan tu powęszyć, że użyję żargonu dziennikarskiego?

— Ma pan na to moją zgodę. Zaraz wydam stosowne dyspozycje.

Podszedł do biurka i uruchomił interkom. Wstałem. Poczekąłem, aż skończy rozmawiać z sekretarką.

— Dziękuję, sir — powiedziałem regulaminowo.

Douglas Westrex zwolnił przycisk interkomu.

— Tylko uprzedzam: nasi pracownicy nie mają dziennikarzy w estymie i nie ręcą za ich uprzejmość ani za rozmowność. Radzę panu udać się bezpośrednio do archiwum. Znajdzie pan tam kompletną dokumentację tyczącą dotychczasowych operacji, przedsięwzięć, zadań i planów Admiralicji. Wprawdzie jest pan rezerwistą, ale jest pan nade wszystko oficerem Sił i chyba nie trzeba panu przypominać o tajemnicy wojskowej.

Znaczyło to akurat tyle, że cokolwiek odkryję w udostępnionych mi materiałach, będę musiał zachować dla siebie. Za ujawnienie treści choćby zupełnie banalnego dokumentu, który jednakże opatrzony został nagłówkiem „tajne”, najniższy wymiar kary wynosi trzy lata ścisłego odosobnienia. Na temat wymiaru najwyższego Kodeks Karny dyskretnie milczy.

Wolno ruszyłem do drzwi. Admirał Westrex ujął mnie za łokieć.

— Komandorze — powiedział cicho, patrząc mi w oczy. — Po opublikowaniu pańskiego

reportażu nastąpiły w Admiralicji zmiany kadrowe, głównie na stanowiskach kierowniczych; nastąpią dalsze. Zważywszy, że zmianom tym towarzyszy, jak pan to określił, ożywienie w działalności Royal Cosmos Force, nasuwa się nieodparty wniosek, że temu przejściowemu zastojowi w Siłach winni byli ludzie usunięci ze stanowisk. Otóż oświadczam panu, że o przypisywaniu komukolwiek winy nie może być mowy dopóty, dopóki się nie udowodni, że o winie w ogóle może być mowa.

Powiedział to cicho, ale tonem, który sparaliżował mój krytycyzm. Uszło mojej uwagi będące w rażącej dysproporcji do stanu faktycznego sformułowanie „przejściowy zastój”, uszło również sofistyczne zakończenie wypowiedzi Westrexa. Uświadomiłem to sobie dopiero po wyjściu z gabinetu i z sekretariatu, idąc do windy.

III. Lee Harb

Archiwum Admiralicji Royal Cosmos Force mieści się w podziemiach gmachu, na trzeciej kondygnacji poniżej parteru.

Archiwista miał bladą, pociągłą twarz, surową i zaciętą. Nie ukrywał niechęci do faceta, który zjawił się tutaj, aby zakłócić funkcjonowanie tego królestwa tajnych dokumentów.

— Stary może rządzić u siebie na górze — powiedział na wstępie. — W moim Hadesie rządę ja.

— Krótko mówiąc, nie respektuje pan poleceń przełożonego? — zapytałem.

Twarz wydłużyła mu się bardziej.

— Coś pan! — burknął. — Nie lubię tylko, jak mi się obcy szwendają po Hadesie. Nawet stary, kiedy czegoś potrzebuje, idzie do sali audiowizualnej i tam grzecznie czeka, aż go obsłużymy.

— Rozumiem — powiedziałem ugodowo. — Nie znam procedury, ale jeżeli wskaże mi pan drogę, chętnie poczekam na swoje materiały.

Tym go udobruchałem. Rozpogodził się trochę i spytał, co mnie interesuje. Moja prośba wprowadziła go w zakłopotanie.

— Dokumentacja dotycząca redukcji Sił? — powtórzył. — Cała? Panie, pan tego nie przejrzy w ciągu miesiąca! Posiedzenia sztabu odbywały się dzień w dzień przez bity rok.

— Nie śpieszy mi się — odrzekłem. — Na początek proszę mi dać do wglądu decyzję o powołaniu admirała Douglasa Westrexa na stanowisko szefa Admiralicji.

Archiwista wzruszył ramionami. Wy tłumaczył mi jak trafić do sali audiowizualnej, i podał numer kabiny. Gdy wszedłem do tej dźwiękoszczelnej klitki, ekran przed fotelem już świecił. Dwukrotnie przeczytałem treść pokazanego na nim dokumentu. Admirał Douglas Westrex powołany został na stanowisko szefa Admiralicji uchwałą rządu.

Włożyłem słuchawki i uruchomiłem taster kasatora. Obraz znikł, a w słuchawkach zabrzmiał głos archiwisty:

— Włączam panu tę pańską dokumentację. Załadowałem komplet kaset. Ampexem może pan sterować z kabiny. Życzę powodzenia.

— Dziękuję.

Wygodniej usiadłem w fotelu, przycisnąłem klawisz startu i zaczęło się. Przez pięć godzin, od dziesiątej do piętnastej, obejrzałem wrywkowo posiedzenia sztabu RCF z pierwszych trzech dni. Posiedzeniom przewodniczył admirał Westrex i trzeba od razu powiedzieć, że zarówno uprawnienia szefa Admiralicji, jak i wypływające z funkcji przewodniczącego wyzyskiwał on w sposób arbitralny. Kiedy wcześniej opuszczałem jego gabinet, ogarnęło mnie zwątpienie. Zastanawiałem się, czy Milady nie miał racji utrzymując, że aczkolwiek kierownictwo Admiralicji Royal Cosmos Force jest jednoosobowe, to Douglas Westrex przy podejmowaniu decyzji rzeczywiście ważkich ma do gadania niewiele więcej aniżeli ktokolwiek inny z biorących udział w obradach Komisji Rządowej. Teraz, będąc świadkiem metod, jakimi Westrex przygotowywał sztab RCF do sukcesywnego wdrażania wyników wspomnianych obrad Komisji Rządowej, nabierałem pewności, że nie Milady,

lecz ja mam słuszość.

Obejrzałem więc szczegółowe relacje z sześciu posiedzeń (trzech przedpołudniowych i trzech popołudniowych) i na ich podstawie mogłem się pokusić o wstępne wnioski. Posiedzenia odbywały się w niezdrowej atmosferze spięć i nieustannego naprężenia. Przypominam: były to pierwsze z trwającego bez mała rok cyklu narad — a już drugiego dnia doszło do scysji. Omawiano wówczas potrzebę ograniczenia współpracy Royal Cosmos Force z Koncernem Wydobywczym X. Koncern ów miał bazę na Io i eksploatował tam złoża szelitu, który transportowano na Ziemię ciężkimi statkami typu „Carryd”. Budowę „Carrydów” zajmowały się stocznie RCF — na zlecenie Koncernu X. Wykonano ich w sumie osiem, przepracowały w kosmosie swoje lata i zbliżał się kres ich użytkowania. Równocześnie w bazie na Io miała miejsce tajemnicza awaria i cztery szyby wydobywcze zostały unieruchomione. Z tych to powodów szef Koncernu X zwrócił się do Admiralicji z prośbą o pomoc, składając przy okazji zamówienie na osiem nowych statków typu „Carryd”.

Oba w dramatycznym tonie zredagowane podania wpłynęły do Admiralicji tuż przed rozpoczęciem rzeczonych posiedzeń sztabu RCF i one stały się przedmiotem starcia pomiędzy admirałem Douglasem Westrexem a szefem pionu ekonomicznego komandorem Lee Harrisem — w drugim dniu narad.

Za zgodą najwyższych władz Royal Cosmos Force przytaczam poniżej wybrany urywek z obejrzonej taśmy ampepxu.

(Izolowana sala obrad. Podłużny pulpit z dwoma zainstalowanymi naprzeciw siebie rzędami miejsc audiowizualnych, które zajmują oficerowie sztabu).

Komandor Harris: ...takie jest moje stanowisko.:

Admirał Westrex (*szyderczo*): Pańskie stanowisko to depresja geograficzna. Trzeba wspiąć się wyżej, żeby zobaczyć cały horyzont. Niech pan sobie zakarbuje, że Siły nie są grupą awaryjno–remontową.

Komandor Harris: Ośmielę się sprostować, sir. Końcem X nie prosi nas o wykonanie prac remontowych, ale o stwierdzenie, czy awaria na Io była wynikiem sabotażu.

Admirał Westrex: To sprawa wydzielonych organów ścigania...

Komandor Harris: ...które podlegają nam...

Admirał Westrex: ...i które w związku z tym nie są zobowiązane do operowania na terenie cywilnym.

Komandor Harris: Jeżeli można dokończyć, sir, chciałbym wyrazić nadzieję, że nasza odmowa nie pogorszy stosunków między nami a Koncernem X.

Admirał Westrex: Czego pan się obawia, Harris?

Komandor Harris: Obawiam się, że Końcem X zrażony naszym postępowaniem cofnie zamówienie.

Admirał Westrex: Tak czy owak będzie je musiał cofnąć. Od jutra oficjalnie zaprzestajemy budowy „Carrydów”. Zreferuję to przy omawianiu punktu dziewiętnastego.

(Konsternacja).

Komandor Harris: Pan chyba żartuje, sir. Przecież to dla nas milionowe straty!

Admirał Westrex (*oschle*): Jeżeli uchwały Komisji Rządowej nazywa pan żartami, rzeczywiście jest to żart. A ponieważ jest pan w Admiralicji znany z poczucia humoru, powiem panu więcej: od jutra likwidujemy dok ciężki w stoczni głównej.

(Chwila ciszy).

Komandor Harris (*wstaje ze zmienioną twarzą*): To oznacza po prostu... ekonomiczną ruinę.

Admirał Westrex: Czy pan, Harris, nie może wyrzec z za tej swojej ekonomicznej kurtyny?

Komandor Harris (*podniesionym głosem*): Nie ja ją wymyśliłem!

Admirał Westrex: Ani ja nie wymyśliłem całej tej redukcji!

Komandor Harris: (*nie panując nad sobą*): Ale był pan tam! Brał pan udział w obradach Komisji Rządowej! To głównie pan ponosi odpowiedzialność!

Admirał Westrex: Pan jest idiotą, Harris! (*Macha ręką w kierunku kamery*). Przerwać protokołowanie!

(*Obraz znika*).

Tyle urywek wybrany z taśmy ampexu nagranej piętnaście lat temu.

Wybuch Douglasa Westrexa, jeśli uwzględnić, że świeżo w pamięci miałem opowiedzianą przez Milady'ego historię o protezie mózgu, której wykonania admirał w niewybrednej formie zażądał od byłego neurochirurga Josepha Formanna — nie powinien mnie zaskoczyć. Jednakże przedpołudniowa rozmowa z admirałem Westrexem sprawiła, że powziąłem o nim wyobrażenie jako o człowieku stoicko zrównoważonym. Teraz po obejrzeniu pięciogodzinnego spektaklu byłem nieprzyjemnie zdziwiony popędlivością admirała. Zaczynałem podejrzewać, że dalsze metry taśmy kryją kolejne niespodzianki.

Nazajutrz spotkało mnie coś, czego nie przewidziałem: odmówiono mi wstępu do gmachu Admiralicji. Sierżant z biura przepustek, gdy mu okazałem dokumenty, zwrócił mi je szybko, jakby parzyły go w palce, i przecząco pokręcił głową.

— Mam rozkaz — powiedział.

— Czyj? — zapytałem bynajmniej nie przyjaźnie.

— Wiceadmirała Hope'a.

Był to jeden z zastępców Douglasa Westrexa. Znałem go z widzenia: jako szef pionu ideologicznego wręczał mi nominację na komandora podporucznika. Miał szerokie uprawnienia, lecz ani on, ani żaden z pozostałych zastępców nie mógł uchylać decyzji Westrexa. Podzieliłem się tym z sierżantem.

— To prawda — odparł — ale sir Douglas Westrex wczoraj po południu przekazał mu obowiązki szefa Admiralicji.

— Co się stało?

— Dzisiaj w nocy sir Douglas Westrex udał się w podróż służbową do Brazylii.

Dosadnym przekleństwem dałem upust uczuciom.

Załatwiono mnie definitywnie.

I jeszcze jedno: po wyjściu z gmachu, mijając bramę w murze okalającym położony na zapleczu dziedziniec, zatrzymałem się przy niej i zajrzałem przez nią.

Zobaczyłem reprezentacyjnego Rolls-Royce'a i wsiadającego doń, wraz ze swoją świtą, admirała Douglasa Westrexa.

IV. Josephine Westrex

Dziś już niezbyt dobrze pamiętam, czemu postanowiłem z nią porozmawiać. Matka szefa Admiralicji przyszła mi na myśl w hotelowym barze, gdy w trakcie lunchu zalewałem pocziwym szkockim trunkiem toczącego mnie robaka upokorzenia. Praca dziennikarza jest niewdzięczna; często gęsto dla zdobycia materiału wystawia on na szwank swój honor czy też działa niezgodnie z przyjętymi normami postępowania. Jestem w stanie z tym wszystkim się pogodzić, wszelako sposób, w jaki zostałem splawiony, dotknął mnie do żywego. Co można sądzić o człowieku, który piastując jedną z najwyższych funkcji państwowych nie ma odwagi zwyczajnie wyprosić niepożądanego dziennikarza i aby się go pozbyć, używa dziecinnych, kłamliwych wybiegów? Jakie odebrał wychowanie, jeśli twarda służba w szeregach Royal Cosmos Force, ta przysłowiowa szkoła charakteru, nie zdołała wyrobić w nim cech, którymi dowódca odznaczać się powinien bezwzględnie? Kim byli jego rodzice?

Po lunchu zadzwoniłem do redakcji w Decksance. Moi koledzy ustalili, że ojciec admirała Westrexa, oficer RCF (a zatem tradycja rodzinna), zginął tragicznie przed czterdziestoma trzema laty, matka zaś żyje do dzisiaj i mieszka w stolicy. Podali mi również jej adres.

Żałosny to widok: ładna i stosunkowo gładka twarz, a poniżej wątpa, dygocząca szyja, wypukłe plecy, wpadnięta pierś, drżące, pomarszczone ręce i niedołężne, chude nogi. Groteskowość takiego wyglądu jest ceną, jaką musi na starość zapłacić kobieta, która ulegając podszeptom drugiej młodości w wieku czterdziestu — pięćdziesięciu lat poddała się cybiofikacji przywracającej jej obliczu urok dwudziestolatki. Miałem przed sobą żywą tego ilustrację. Pani Josephine Westrex, skurczona i zgrzybiała, okutana w dosyć niesamowite szaty, prezentowała się niczym cherlawy i dogorywający upiór, co dla ironii założył maskę lalki.

— Od urodzenia w otoczeniu mundurów — powiedziała, drepcząc przede mną do saloniku. Głos miała niepewny, lecz o przyjemnym brzmieniu. — Od urodzenia. Dug niezawodnie i pogrzeb wyprawi mi wojskowy.

Wprowadziła mnie do przestronnego wnętrza z przysadzistym stolikiem, dwoma fotelami i dużym holowizorem, który włączony na wolny kanał wiernie imitował kominek dając nawet ciepło ze sprytnie ukrytych w obudowie promienników. Wyposażenie saloniku uzupełniały płaskie szafy i liściasta roślina rozkrzewiona pod oknem. Nie było tu bibelotów ani żadnych zbytecznych sprzętów.

— Och, ale pan jest w cywilu — zauważyła pani Westrex ze sztuczną kokieterią w sztucznie młodych i ożywionych oczach.

Poczekaliśmy, aż spocznie, i zachęcony usiadłem w drugim fotelu.

— Jestem na rencie — wyjaśniłem.

Okutała się szelniej w górną, pstrokatą część stroju, w coś, co przypominało chustę lub niezwykle obszerny kołnierzoszal z lejącego się materiału.

— Nie znoszę tego słowa — odrzekła. Utkwiła wzrok w ekranie holowizora, na którym buzował ogień, i zapytała:

— Napije się pan czegoś?

Odniosłem wrażenie, że zapytała z nadzieją, że jednak niczego się nie napiję. Spełniłem jej nadzieję:

— Nie, dziękuję.

Chyba spodziewała się takiej odpowiedzi, od razu bowiem podjęła, nawiązując do mego poprzedniego wyjaśnienia:

— Każdego kiedyś odeślą na darowane. Prędzej czy później. Lękam się, jak Dug to zniesie.

— Zapewne z wrodzoną mu godnością — podsunąłem ufając, że sprowokuję panią Westrex do wynurzeń.

Chwiejnie odwróciła do mnie głowę. Na jej nienaturalnej twarzy pojawił się tym razem naprawdę żywy wyraz.

— Z godnością... Trafnie pan to ujął: z godnością. On zawsze był taki, od dziecka.

— Ta cecha niewątpliwie ułatwiła mu zrobienie kariery.

— Och, niewątpliwie ta cecha, tak. Chociaż... — przerwał jej atak suchego kaszlu. Josephine Westrex przycisnęła pomarszczoną piąstkę do wpadniętej piersi i wychrypiała: — A może mimo wszystko skusi się pan na kieliszeczek? Mam nalewkę na ziołach sporządzoną według średniowiecznej receptury. Dobra na wszelkie dolegliwości, krzepiąca...

Nim zdążyłem cokolwiek rzec, pani Westrex zapomniała o swej propozycji.

— Godność, owszem — kontynuowała. — Ale nie wypada lekceważyć i predestynacji. Mój mąż, a ojciec Duga urodził się w znaku Panny, ja też jestem Panna. Ludzie spod tego znaku wyróżniają się umiłowaniem porządku, solidnością, analitycznym sposobem myślenia, krytycyzmem, niepospolitym rozumem, inteligencją... Och, może pan o mnie myśleć, co pan zechce, wcale się nie przechwalam. Takie mam zalety i zwyczajnie jestem ich świadoma. I mój mąż był taki, obowiązkowy, sumienny, a przy tym precyzyjny. Dug odziedziczył to po nas, ponadto sam ma słońce w Pannie.

Pani Westrex ponownie stłumiła kaszel.

— Powiedział pan: godność? — zapytała. Potrząsnęła włosami. — Czy to nie wyjątkowy zbieg okoliczności, że Panna skojarzyła się z Panną i wydała na świat Pannę? Właściwie to dobrze nie wiadomo, spod jakiego znaku jest Dug: urodził się w nocy z 22 na 23 sierpnia; ni to Lew ni Panna. Ale dzięki temu, kiedy trwała walka o stołek szefa Admiralicji, komputer astrologiczny rozstrzygnął wątpliwości Komisji Rządowej na korzyść mego syna. Dug jednoczy w sobie cechy świetnego organizatora, lojalnego, cieszącego się autorytetem, obiektywnego, odważnego dowódcy z cechami rozsądnego, umiającego trzeźwo myśleć, beznamiętnego erudyty.

Machinalnie przytaknąłem.

— Zdarzenie godne odnotowania — spostrzegłem.

Popatrzyła na mnie nieco zdziwiona.

— Och — zmiarkowała się — bo przecież pan jest tym... no, tym...

— Dziennikarzem — odpowiedziałem.

Lecz ją już przestało interesować, kim jestem. Na nowo wbiła wzrok w sypiące iskrami płomienie na ekranie holopaleniska.

— Jaki był jako dziecko? — powtórzyła pytanie, które zadałem jej, jeszcze zanim wpuściła mnie do mieszkania. — Jaki był? Był bardzo religijny. W ogóle był dzieckiem wyjątkowym... Ambitny, wrażliwy, wymagający w stosunku do siebie i otoczenia, nad wiek rozwinięty. Dlatego rówieśnicy nie rozumieli go i raczej stronili od niego. Miał chyba dziesięć lat, kiedy zdecydował się poświęcić Bogu. Raz w tygodniu odwiedzał nasz dom przyjaciel męża, teolog. Godzinami rozprawiał z Dugiem o wierzeniach i obrządkach religijnych. Nie wtrącałam się, bo jestem przeciwna narzucaniu dziecku czegokolwiek. Tak obecnie modny i rozpowszechniony system wychowania za pomocą nakazów i

zakazów według mnie ogranicza swobodę jednostki. To ślepy nawrót do metod wychowawczych skompromitowanych i zaniechanych już w dwudziestym wieku. Więc kiedy Dug nauczył się pacierzy i zaczął je odmawiać w coraz dziwniejszych porach doby, patrzyłam na to przez palce. Nie zabraniałam mu i zrywać się o trzeciej w nocy, zapalać świece, klęczeć do rana na gołej posadzce. Zresztą wkrótce minęła mu ta żarliwość neofity i Dug w stosunku do swego Boga stał się bardziej poufały. Modlił się nadal regularnie, dwukrotnie w ciągu dnia, ale do jego modlitw wkradło się niewinne wyrachowanie. Powiedział mi któregoś wieczora: „Prosiłem Go o zwycięstwo dla naszej drużyny i wysłuchał mnie”, a po miesiącu: „On zrobi wszystko, o co go poproszę”. Było to zabawne, skoro jednak Dug traktował tę sprawę poważnie, pozostało i mnie zachować powagę.

Josephine Westrex przymknęła powieki.

— Dug trochę zaniedbał naukę. Poradziłam mu, żeby odrobinę mniej czasu poświęcał praktykom religijnym. „To na razie niemożliwe — odparł. — Muszę wpierw przyzwyczaić Go do swoich modlitw, muszę go od siebie uzależnić”. Nie nalegałam, bo wiedziałam, że Dug w razie czego nadrobi zaległości. I nadrobił...

Z piersi pani Westrex wydobyło się świszczące westchnienie.

— Nie spotkałam równie zdolnego chłopca — oświadczyła.

— A jaki był z niego rezolut! Pamiętam, żeśmy poszli z Dugiem zobaczyć, jak wylewają fundamenty pod motel. Dug i ja ani przez chwilę nie mieliśmy wątpliwości co do lokalizacji tego motelu. Okolice naszego domu, szczególnie pobliskie Rondo Schweitzera, to wprost wymarzone miejsce na hotel. Dlatego byliśmy oburzeni, kiedyśmy się dowiedzieli, że budują go tam, gdzie jest teraz, pół kilometra stąd. Dug odszukał człowieka, który dozorował maszyny, trącił go w łokieć i zagadnął:

„Czy pan często myśli o Bogu?”

Tamten człowiek wyszczerzył zęby.

„A powinienem?” — spytał.

Dug zbył to pytanie milczeniem.

„Może w takim razie Bóg myśli o panu? — powiedział. — Może próbuje pana natchnąć”.

Mężczyzna, to był jeden z tych tępych inżynierów, wskazał te swoje maszyny i odpowiedział pytaniem:

„Chcesz zobaczyć, jak się tym kieruje, chłopcze?”

Godność, och tak, Dug wyssał ją z moim mlekiem.

„Nie po to tu przyszedłem — odparł, a głowę trzymał wysoko jak sztandar. — Motel trzeba zbudować na Rondzie Schweitzera. To samo usłyszysz pan od Boga, jeżeli się pan wsłucha w siebie”.

Tamten człowiek uśmiechnął się głupio i powiedział:

„Przykro mi, chłopcze. O lokalizacji decyduje nie Bóg, ale projektant”.

Tak właśnie powiedział ten jełopowaty inżynier. Inne dziecko na miejscu Duga by zaczęło prosić, przekonywać. Dug chłodno zmierzył inżyniera, wziął mnie pod rękę, wyprowadził na ulicę. Przez całą powrotną drogę zaciskał usta, dopiero gdyśmy stanęli przed domem, szepnął: „Ja mu wybaczam. Bóg przemawia tylko do nielicznych”. I przeszedł nad tym do porządku. W dalszym ciągu odmawiał codziennie modlitwy, ale uczył się wybornie i nie przysparzał mi najmniejszych kłopotów. Miałam z niego prawdziwą pociechę. Mąż przeważnie był w domu nieobecny, przebywał w jednostce albo w ogóle poza Ziemią, z czasem więc nie musiałam się liczyć, mogłam go przeznaczyć na wychowanie Duga.

Pani Westrex wpadła w zadumę. Na ekranie holowizora buchały iskry, z głośników dobiegało trzeszczenie płonących bierwion.

— On miał zaufanie do Boga — ciągnęła. — Wierzył, że nic złego spotkać go nie może. Rzeczywiście wiodło mu się nadzwyczajnie, jakby czuwały nad nim dobre duchy. Prymusem był w college’u i w Akademii, został pięciokrotnym mistrzem sportu, wygrywał konkurencje mnemoniczne i heurystyczne. To było wybitne dziecko, dziecko powodzenia i sukcesu. I tak jest po dziś dzień. Dug intuicyjnie wyczuwał, że się urodził pod szczęśliwą gwiazdą. Raz przyłapałam go na tym, jak stał w otwartym oknie łazienki i strofował swoich kolegów, którzy biegali przed naszym domem i wrzeszczeli: „Święty–stuknięty!” Było wtedy mroźne popołudnie, ziąb walił z dworu, a Dug stał w tym oknie rozebrany do naga, tak jak wyskoczył z wanny, z gorącej kąpieli, jeszcze ociekał wodą. Krzyknęłam, żeby się cofnął, żeby natychmiast zamknął okno, bo dostanie zapalenia płuc. On się roześmiał i spytał: „Zapalenia płuc? Ja? Ja?! Nie żartuj, mamó”.

Kaszel znowu przerwał na krótko monolog pani Westrex. Monolog, którego słuchałem ze wzrastającym niedowierzaniem.

— Mówię, a pan chce skosztować mojej nalewki. Tę recepturę odkrył Dug w jakiejś muzealnej księdze, zdaje się, kucharskiej. Nasi przodkowie nie byli tacy głupi, skoro umieli wykorzystać zioła dla potrzeb farmakologii. Termin „farmakognozja” powstał dopiero w dwudziestym wieku, ale już w średniowieczu, jeśli nie starożytni, znali lecznicze właściwości minerałów i roślin. I nie było wówczas żadnych cudaczych, zwariowanych wytworów techniki ani niedowarzonych inżynierów, którzy nie widzą nawet końca swego nosa. Dug wybaczył temu tumanowi, co nadzorował budowę motelu, wybaczył projektantowi i całej tej reszcie, ale ja nie mogłam się zdobyć na taką wspaniałomyślność. Nie mogłam i nie mogę!

Josephine Westrex raptem wlepiła we mnie oczy z wyrazem bezgranicznego zdumienia. Nastąpiło to tak niespodziewanie i tak nie pasowało do sytuacji, że poczułem niepokój.

— Czy moje żądania są zbyt wygórowane? — zapytała. — Czy mojemu synowi, mężowi i mnie nie należały się jakieś udogodnienia? Przecież przesunięcie motelu o te zakichane kilkaset metrów bliżej naszego domu nie byłoby nawet częściową rekompensatą za mój trud. A teraz? Dałam krajowi szefa Admiralicji Royal Cosmos Force, rozbudziłam w mężu ambicje, dzięki czemu został dowódcą 11 Eskadry, która z narażeniem życia zlikwidowała „Alkioneusa”, ten bolid, co omal nie zmiotł Europy z powierzchni Ziemi. Czy wdowa po zasłużonym oficerze Sił, matka admirała nie ma prawa do niezbędnej wygody? No, niech pan odpowie!

Nie odpowiedziałem. Nie byłem w stanie ustosunkować się do bezpodstawnych, lecz równocześnie w jakiejś mierze uzasadnionych roszczeń mojej rozmówczyni. Przypuszczenie, że są one zasadne, narzuciło mi niezachwiane przekonanie i gwałtowność, z jaką pani Westrex wysuwała owe roszczenia, gdyż pod względem merytorycznym były one z gruntu absurdalne.

— Pan jest tym... no, tym... — Josephine Westrex zalotnie odgarnęła starczą ręką włosy z młodej twarzy — ...och, dziennikarzem. Dlatego mówię to panu. Zresztą sam pan pytał. Jeżeli uzna pan za stosowne poruszyć tę sprawę w swojej gazecie czy audycji, zyska pan moją wdzięczność i zjedna sobie Duga.

Przesłała mi dworny uśmiech, a potem zapadła w fotel, dając do zrozumienia, że audiencja ma się ku końcowi. Wstałem. Nie uczyniłem pani Westrex żadnej obietnicy. Wiedziałem, że w istocie rzeczy nie potrzebuje ona mojej interwencji. Ta nieszczęsna introwertyczka zapatrzona w przeszłość niczego już od życia nie oczekiwała.

Wychodząc powiedziałem sobie, że wszystko, co tutaj usłyszałem, jest jedynie projekcją życzeń, wyobrażeń oraz fantazji starszej pani. I chciałem w to uwierzyć.

V. Roy Salaz

W stolicy spędziłem weekend. Bez konkretnego planu włóczyłem się po mieście, zaglądałem do kasyn odwiedzanych przez rezerwistów i kadrę Royal Cosmos Force. Miałem nadzieję, że wśród tego rozgadanego, kipiącego od plotek tłumu znajdę kogoś ze starych kumpli, pamiętających reorganizacyjny młyn sprzed szesnastu lat, albo że wpadnie mi do uszu strzęp rozmowy, który może naprowadzić mnie na prawdziwy trop. Liczyłem na przypadek bądź nagłe olśnienie. I właśnie przypadek zrzucił, iż przypomniła mi się osoba Roya Salaza, współpracownika Douglasa Westrexa i jego zausznika, który wraz z Westrexem służył w Siłach najpierw jako kadet, następnie jako oficer, później zaś usunięty został z Admiralicji RCF za rzekomą niesubordynację i błędy w kierowaniu.

Roy Salaz mieszka obecnie w moim rodzinnym mieście. Do Decksance dotarłem w poniedziałek po południu. W domu czekała na mnie niespodzianka: przesyłka pocztowa. Rzadki to dzisiaj i kosztowny sposób przesyłania korespondencji, wypierany przez rozmaite domowe urządzenia teledacyjne, skwapliwie zatem sięgnąłem po wytarte od częstego używania etui pocztowe. Rozciąłem samoprzylepną banderolę opatrzoną moim nazwiskiem i adresem, i otworzyłem zatrzaski. Wewnątrz znajdowała się kasetka z taśmą magnetyczną. Założyłem ją do magnetofonu. Głos pochodził z syntezatora elektronicznego, co samo przez się było zastanawiające, lecz w prawdziwe osłupienie wprowadziła mnie treść tego trwającego niespełna minutę monologu:

„Panie Lutz! Ma pan piękną żonę, wspaniałego syna i ciekawy zawód. Nie potrzebuje pan pracować, bo za pańską rentę można z powodzeniem utrzymać choćby dziesięcioosobową rodzinę. Skoro jednak z zawodu dziennikarza czerpie pan satysfakcję, nie będziemy jego uprawiania panu odradzać. Zachęcamy tylko do przemyśleń nad wyborem tematu. Nieodpowiedni wybór jest niekiedy równoznaczny z włączeniem się do hazardowego rozdania. Znamy pańskie karty, znamy karty, które jeszcze nie weszły do gry, znamy także pułap pańskiego przebiccia, toteż lojalnie uprzedzamy, że wysokość stawki przekreśla pańskie szansę. Bo czy odważy się pan złożyć do puli swoją żonę lub syna?”

Przesłuchałem ten zapis w skupieniu. Jeśli miał to być żart, jego autor stanowczo przeholował. Jeśli zaś pogrózkę traktowano poważnie, nadawca taśmy zamierzał wywołać skutek, który — według moich ocen — posiadał alternatywną wykładnię: albo chciano mnie zniechęcić, albo przeciwnie — pobudzić do energiczniejszego działania. Tę drugą ewentualność, zważywszy powagę groźby, należało wykluczyć. Był to więc szantaż oraz usiłowanie zastraszenia: przestępstwo sporadyczne w naszych czasach i nie lada gratka dla miejscowego komisarza policji.

Zachnąłem się.

Wyjąłem kasetę z magnetofonu i cisnąłem ją do szuflady biurka. Lubię i szanuję policję, ale wolę jej unikać.

Zgodnie z moim przypuszczeniem Elič w domu nie było; pracowała oczywiście ze studentami. Nie było również Alberta, co dawało się usprawiedliwić raczej z trudem. Chłopak powinien o tej porze siedzieć nad pulpitem repetycyjnym i wkuwać lekcje zamiast z kolegami maltretować automaty „I–I–I”, które tak samo rozwijają inteligencję, intuicję i inwencję, jak dawniej zajęcia przy

taśmie montażowej.

Z Royem Salazem skontaktowałem się telefonicznie. Chciałem umówić się z nim na spotkanie, on jednak uznał, że wideofon jest nazbyt wygodnym środkiem komunikacji, aby ruszać się z domu. Wszelako po minucie zmienił zapatrywania.

Patrzył na mnie z ekranu swymi brązowymi, skośnymi oczyma i z namysłem, miarowo zaciskał pełne wargi.

— Nie — odparł na moje wcześniej wyrażone obawy. — Pańska relacja wcale mnie nie ubodła. Przeciwnie, sprawiła mi satysfakcję. Tyle że odczułem jakby niedosyt. Bo pan o redukcji zaledwie napomknął. A trzeba było sprawę zgłębić. No, ale ponieważ teraz pan się tym zajął...

Na sekundę spojrzenie Salaza, błędzące teraz w okolicach kamery w jego aparacie, znieruchomiało. I wówczas to Roy Salaz powiedział:

— Miał pan rację, Lutz. Nie powinniśmy rozmawiać przez te śmieszne skrzynki. Pański wideofon jest na podsłuchu.

Odruchowo obrzuciłem wzrokiem swój aparat.

— Czy pan o tym wiedział? — zapytał Roy Salaz. — Nie, nie wiedział pan. Widać to po panu. Ja jestem elektronikiem, panie Lutz. W ramach emerytalnego nieróbstwa zmajstrowałem sobie takie chytne urządzenie. Przystawkę do wideofonu. Między innymi kontroluje ona czystość toru. Nasz tor nie jest czysty. Włączył się na niego ktoś trzeci. Najpewniej automat rejestrujący. Tak, tak, ipsofon. Czy ma pan piekielnie zazdrosną żonę, Lutz?

— Nic z tego nie rozumiem — odrzekłem, aczkolwiek zaczynałem rozumieć: zakaz wstępu do archiwum Admiralicji RCF, przesyłka pocztowa z pogrózkami, kontrola rozmów telefonicznych... czy aby połączyć te fakty i wysnuć z nich wnioski, trzeba radzić się komputera?

Roy Salaz odgarnął z czoła grzywę prostych, atramentowoczarnych włosów.

— Proponuję nie odkładać rozmowy — podjął. — Pańskie pytanie i tak zostało zarejestrowane. Kimkolwiek jest właściciel ipsofonu, wie już, co pana interesuje. Ja natomiast nie mam nic do ukrycia. Kiedy podawano mnie do dymisji, złożyłem obszerne wyjaśnienia. Ich treść nie jest żadną tajemnicą. Do pewnego stopnia nawet zależy mi na rehabilitacji. Do Sił bym nie wrócił, ale rehabilitacja... Tak, tak. Choćby po to, żeby dogodzić własnej próżności.

Roy Salaz mówił swobodnie, lecz ja nie mogłem się zdobyć na swobodę. Wprawdzie ze zjawiskiem zewnętrznych ingerencji w sferę prywatną czy osobistą jednostki — podobnie jak każdy z nas — spotykam się często, atoli tym razem wieść o podsłuchu mocno mnie speszyła.

— Pan był zastępcą szefa Admiralicji do spraw technicznych? — spytałem.

— Tak, byłem zastępcą Duga. Byłem też jego przyjacielem. Do czasu jak poznałem swoją żonę. Właściwie to Barbarę poznaliśmy równocześnie z Dugiem. Dug był wtedy od czterech lat szefem Admiralicji, ja od dwóch jego zastępcą, a Barbara specjalistką cybernetykiem. Wchodziła w skład grupy ekspertów. Tych, którzy wydają orzeczenia dopuszczające obiekty kosmiczne do użytkowania. Wspaniała dziewczyna. Obdarzona temperamentem, urodą, inteligencją. No, a myśmy z Dugiem byli kawalerami. Sytuacja banalna. Ale i banałem byłoby powtarzać, że życie składa się z sytuacji banalnych. Barbara związała się ze mną z dwu powodów. Dug ją trochę onieśmielał, to raz, a dwa: ja miałem dla niej więcej czasu niż on. Po pół roku wzięliśmy ślub. Tradycyjny, szykowny, tak, tak. W przeddzień naszego ślubu Dug demonstracyjnie wyjechał za granicę. Niby to służbowo. Wrócił po tygodniu. Nawet nie złożył nam życzeń. Z Barbarą przestał się widywać, mnie unikał. Nie wiedziałem, że był tak zaangażowany...

Roy Salaz poruszył głową i jego czupryna na ekranie załśniła granatowo.

— Jakoś uporządkowałem swoje stosunki z Dugiem. Uwierzyłem, że Dug pogodził się z losem.

Zwłaszcza że uczucia ulokował w operatorce z pionu ekonomicznego. Dwa lata później trafiła nam się rzadka okazja zarobku. Firma „Spacecarrier” zleciła Siłom zaprojektowanie i budowę doku kosmicznego. Dla potrzeb cywilnych linii transportowych. Budowy nie mogliśmy się podjąć, bośmy po redukcji dysponowali już tylko jedną stoczną. Ale do wykonania projektu wystarczą kwalifikacje. Ja i Dug mieliśmy odpowiednie. Finansowo oferta „Spacecarrier” była kusząca. Dobraliśmy fachowców i podzieliliśmy się robotą. Zgodnie ze swoją specjalnością Dug wziął na siebie opracowanie bloku nawigacyjnego. Mnie przypadł w udziale system ostrzegawczo–alarmowy. Prace nad nim zajęły mi pięć miesięcy. Śpieszyłem się, bo naglił mnie termin wyjazdu do Afryki. Miałem tam siedzieć blisko rok jako obserwator wojenny. Gotowy projekt wręczyłem Dugowi. Umówiłem się z nim, że przedstawi go za mnie komisji oceniającej, i wyjechałem. Z Afryki odwołano mnie po ośmiu miesiącach. Zaprojektowany przez nas i zbudowany przez cywilną stoczną „Progress” dok eksplodował na orbicie okołoziemskiej. W toku prób. Zawiódł system ostrzegawczo–alarmowy. Nie kontrolowana reakcja jądrowa...

Para brązowych, skośnych oczu przeszła mnie z ekranu. Roy Salaz raz i drugi zacisnął wargi.

— Tak, tak, mój system ostrzegawczo–alarmowy. Sytuację pogarszało to, że byłem kierownikiem zespołu projektowego. Od ustalenia tego faktu prokurator rozpoczął przesłuchanie. Wyjaśniłem mu, że kierownikiem zostałem z wyboru kolegów. Że pełniłem tę funkcję nieoficjalnie. Wtedy prokurator zapytał, dlaczego projektu nie przekazałem komisji oceniającej. Zbaraniałem; przecież miał to zrobić Dug. Wezwano go. Dug, tak, tak, szef Admiralicji Douglas Westrex oświadczył, że oddałem mu opieczętowaną teczkę z zapewnieniem, iż komisja projekt zatwierdziła. Nie wierzyłem własnym uszom...

— Czy awaria doku wynikła z błędu w projekcie? — wtrąciłem.

Może to było złudzenie, lecz Salaz chyba przybladł.

— Awaria — powtórzył wyraźnie i wolno. — Awaria. Wybuch zamienił dok i ludzi w parę. Przez mocny teleskop jeszcze dzisiaj zobaczy pan ten obłoczek krążący wokół Ziemi... Tak, tak, ja też żywiłem nadzieję, że zawinił wykonawca. Ale pokazano mi projekt. Rozwiązanie kontroli stosu było sfałszowane. Ktoś zamienił schematy. Na miejsce mojego włożył schemat układu, który przy zwiększającym się rozpadzie zamiast hamować, przyspieszał reakcję. Tej zamiany dokonano we wszystkich egzemplarzach projektu. Od izolatki uratowały mnie...

Roy Salaz odwrócił głowę i zniknął z pola widzenia kamery. Ekran pokazywał seledynową płaszczyznę okrytej mrokiem ściany i ramię Salaza na oparciu fotela.

— Na pokładzie doku razem z grupą ekspertów była moja żona — podjął. Głos mu się zmienił, lecz nie dlatego, że Salaz siedział teraz dalej od mikrofonu. — Czy pan to rozumie, Lutz? Ona tam była.

— Ogromnie panu współczuję — powiedziałem cicho.

— Daj pan spokój — odparł z rezygnacją. — Nie zamierzam pana rozczulać. Mówię to, żeby pan wiedział, czemu umorzono sprawę. Prokurator miał do wyboru dwie linie oskarżenia. Pomyłkę albo premedytację. Pomyłkę wykluczyły brudnopisy obliczeń i szkice schematów. Znalaziono je w moim mieszkaniu, nim wróciłem z Afryki. Były bezbłędne, odwrotnie niż te w dokumentacji przesłanej do stoczni „Progress”. Z drugiej linii oskarżenia prokurator też musiał zrezygnować. Brakowało motywów. Okoliczności przemawiały raczej na moją korzyść. Rozstrzygającym argumentem było orzeczenie kryminalistyków. Stwierdzili, że te kainowe schematy zostały wykonane inną techniką, na innym papierze i w innym czasie. Wtedy kiedy od miesiąca siedziałem już w Afryce.

Roy Salaz odchrząknął. Jego głos zabrzmiał czyściej.

— Śledztwo umorzono. Prokurator zastosował sankcję tylko w odniesieniu do nadzoru

technicznego. Pewnie z dbałości o własne samopoczucie. Paru inspektorów straciło posady. Zarzucono im, że zlekceważyli brak pieczęci komisji oceniającej na moim projekcie. Głównego sprawcy jednak nie wykryto.

— Pan kogoś podejrzewa?

Twarz Salaza pojawiła się na ekranie równie szybko, jak przedtem z niego znikła. Właściwie widziałem ledwie fragment jego twarzy, gdyż Salaz nisko pochylił się nad aparatem.

— Czy kogoś podejrzewam? A jak pan uważa, Lutz? Ja znam tę sprawę z autopsji. I długo, bardzo długo nad nią myślałem. Zresztą tego człowieka podejrzewałem wtedy nie tylko ja. Cała Admiralicja huczała od plotek.

Roy Salaz trwał chwilę pochylony nad wideofonem, po czym powoli cofnął się na fotel. Skorzystałem z pauzy, aby rzec:

— Powiedział pan dostatecznie dużo.

Obdarzył mnie pobłażliwym spojrzeniem.

— Przestraszył się pan ipsofonu? To samo zeznałem podczas przesłuchania. Proszę sprawdzić w aktach. Znajdzie pan tam takie oświadczenie: „Przed moim aresztowaniem spotkałem się z admirałem Douglasem Westrexem. Admirał Douglas Westrex zapytał mnie, czy wiem, jaką nazwę nosił zaprojektowany przez nasz zespół kosmiczny dok. Odparłem zgodnie z prawdą, że nie wiem. Admirał Douglas Westrex powiedział krótko: „Barbara”. Wymienił tę nazwę z nie ukrywaną satysfakcją”. Tak, tak, on szalał za Barbarą, panie Lutz!

Niemal uniosłem rękę, aby zaprotestować. Mimo wszystko zaślepienie w zazdrości, pożerająca namiętność, w której literatura widziała siłę popychającą do zbrodni — nie dawały się przypisać Douglasowi Westrexowi.

— Zdaje się, że wspomniał pan o jakiejś operatorce z pionu ekonomicznego?

— Bluff! Klasyczna reakcja rogakza. Zajął się tą operatorką dla pozorów. Dziewczyna, nie zaprzestając rzekomego romansu z Dugiem, wyszła za mąż za swego kolegę. Panie Lutz, przecież Dug do dziś pozostał kawalerem!

W tym punkcie Roy Salaz miał rację. Atrakcyjny, o ile się na tym znam, mężczyzna, zajmujący eksponowane stanowisko, niechybnie był częstym obiektem adoracji.

A jednak... Naturalnie, starokawalerstwo Douglasa Westrexa o niczym jeszcze nie świadczyło, ale że mnie nie uderzyła ta anomalia!

— No tak — powiedziałem z namysłem.—Niemniej Westrex jakoś sobie radzi.

Nie siliłem się na nic dowcipnego, toteż skonsternowała mnie rozbawiona mina Salaza.

— Jakoś sobie radzi — potwierdził. — Ale na pewno po Barbarze nie było żadnej. Najniewinniejszy flirt Duga prasa rozdmuchałaby do rozmiarów sensacji. Nie, nie było żadnej.

— A przed Barbarą?

Roy Salaz ściągnął brwi i znowu zacisnął wargi. W skupieniu przetrząsnął pamięć.

— Przed? Nie przypominam sobie. Chociaż... czekaj pan. Ale to stare dzieje. Z okresu studiów. Dziewczyna miała na imię Natalia. Dug ją poznał na praktyce. Tak, tak, Natalia. Dosyć urodziwa. Ta znajomość trwała rok czy półtora. Nie jestem pewien, ale prawdopodobnie doszło między nimi do nieporozumienia. Nie tyle na tle uczuciowym, co zawodowym.

— Pamięta pan nazwisko tej dziewczyny?

— Panie Lutz, ja jestem elektronikiem, a nie komputerem — odparł Salaz prawie z wyrzutem.

Przypuszczałem, że teraz gdy wyczerpał temat, zasypie mnie pytaniami, a tego wolałem uniknąć, i to nie z powodu podsłuchu. Zaczynałem odnosić wrażenie, że owe relacje bynajmniej (jak zrazu sądziłem) nie uzupełniają się wzajemnie, miast odślaniać, zasłaniają przede mną prawdziwe

oblicze admirała i że skażone są fałszem subiektywizmu, być może celowo. Inaczej mówiąc, po opowieści Roya Salaza jałem powątpiewać w jego prawdomówność i straciłem doń zaufanie. Z kolei obiektywizm pani Westrex także budził wątpliwości.

— Niech mi pan jeszcze powie — rzekłem — czy admirał Douglas Westrex wierzy lub czy kiedykolwiek wierzył w Boga?

Z rozdziawionymi ustami Roy Salaz wlepił we mnie wzrok. Miał wygląd aktora komediowego odgrywającego farsowy gag. Wybuchnął gardłowym, długim i dziwnym śmiechem, który w ogóle nie zmienił mu rysów.

— A czy Bóg... — wykrztusił nie mogąc się opanować — ...czy Bóg, panie Lutz... że nie wspomnę o wierze... czy Bóg zaakceptuje... konkurencję?!

VI. Natalia Anzengruber

Dwa dni zabrało moim kolegom z redakcji ustalenie personaliów pani Natalii oraz jej adresu. Przez te dni wymieniłem z żoną poglądy co do metod wychowawczych i dalszej edukacji Alberta — i — jak łatwo się domyślić — nie osiągnęliśmy w tej materii porozumienia.

— On się wzoruje na tobie — stwierdziła Elič. Poprawiła przed lustrem fryzurę. — Jesteś jego ideałem.

— Byłbym rad, gdyby tak było — rzekłem. — Ja w jego wieku...

— Ty w jego wieku... — odparowała Elič pusząc się, co miało być karykaturą mojej mentorskiej postawy.

— W każdym razie potrafiłem zachować proporcje. Ale żona nie dopuściła mnie do głosu.

— Pozwól sobie przypomnieć — zaczęła takim tonem, jakby przemawiała z katedry — że rozwój fizyczny rzutuje na rozwój umysłowy i że Albert ma dopiero dwanaście lat. Zmuszając chłopaka do ślęczenia nad lekcjami zyskamy akurat tyle, że rozbudzimy w nim wstręt do tej gloryfikowanej przez ciebie nauki. Zresztą wcale nie chcę, żeby mój syn wyrósł na apatycznego, zblazowanego omnibusa.

Porwana swoją perorą nawiązała jeszcze do słów doktora Zenda, który zalecił Albertowi dużo ruchu na świeżym powietrzu, zacytowała masę przysłów, powołała się na starożytnych dbających o harmonijny rozwój ducha i ciała, następnie zaś dobrała się do mnie dowodząc, że żadna regułka z tych, które wkłułem w młodości, nie ocalała mi w pamięci i że w gruncie rzeczy jestem nieukiem.

— Ale bardzo kochanym — dodała, strojąc pyzată bużkę w przymilny uśmiech.

Tym mnie rozbroiła. Do tego stopnia, że nawet nie mrugnąłem, gdy Albert po przełknięciu obiadu znowu popędził do swoich ulubionych automatów „I-I-I”. Po dwóch dniach otrzymałem wreszcie wiadomość z redakcji. Podano mi numer telefonu pani Natalii. Pani Natalia nosząca po ostatnim, piątym mężu nazwisko Anzengruber mieszkała w drugim końcu kraju, mimo to zgodziła się ze mną spotkać, zapewniając mnie, że „od niej do Decksance jest niecałe siedemdziesiąt minut jazdy supersoniczną koleją”. Sama zaproponowała to spotkanie; wyznaczyła mi dzień i godzinę i zostawiła mi do wyboru jedynie miejsce. Wybrałem „Elaborate”.

Natalia Anzengruber jest w wieku admirała Douglasa Westrexa, spodziewałem się przeto ujrzeć kobietę dojrzałą i stateczną. Osoba, którą maître d’hôtel przywiódł do mego stolika, nie wyglądała wprawdzie na podlotka, lecz niepodobna było to dziewczę posądzić, że jest dobrze po pięćdziesiątce i ma tak bogatą przeszłość.

Uścisnąłem wyciągniętą ku mnie małą, silną dłoń i powiedziałem:

— To pani...

Natalia Anzengruber zmarszczyła nosek. Kręcąc ledwie dostrzegalnie swą fantazyjnie ufryzowaną główką (jak gdyby czemuś przeczyła) zapytała:

— Coś nie w porządku?

— Przeciwnie — wskazałem jej fotelik. — Ale gdyby miała pani w domu wideofon, zrobiłaby pani na mnie wrażenie mniej piorunujące.

— Lubię wywierać na mężczyznach wrażenie — wyznała z kokieterią. — To moja słabość.

Ponadto telefony są modne.

— Z tym, że pozbawiają pani adoratorów okazji do podziwiania pani urody.

W nagrodę za tę wypowiedź Natalia Anzengruber obdarowała mnie uśmiechem.

— Jakaż galanteria! Doprawdy warto było tu przyjechać, żeby to usłyszeć.

Dostaliśmy aperitif i czekając na kolację sączyliśmy go drobnymi łyżkami. Pani Natalia po wymianie duserów zainteresowała się urządzeniem restauracji, ja ukradkiem podziwiałem piękno pani Natalii. Zawdzięczała je raczej salonowi kosmetycznemu niż naturze, lecz było ono doskonale i głębokie, jakby chirurg modelujący tę twarz tchnął w nią część swej artystycznej duszy. Jednocześnie werwa i aktywna zmysłowość przydawały rysom mojej rozmówczyni wyrazu młodzieńczej żywotności. Podano nam „briquose” — danie, na które, ulegając entuzjastycznym pochwałom Natalii Anzengruber, dałem się namówić mimo całej mojej nieufności wobec potraw egzotycznych. Melanz zwany „briquose” przypominał mieszaninę ryżu, grochu, grzybów i pokrojonego w kostkę mięsa. Wyglądał okropnie, wszelako zapach i smak miał wyborny. Powiedziałem to głośno. Ponownie zarobiłem na słodki uśmiech.

— Prawda? — spytała Natalia Anzengruber. — Wyśmienite. Ale mówmy sobie po imieniu. Mogę ci mówić Sey? Jak mówi do ciebie twoja żona?

— Seymour — odparłem nieco zmieszany.

— A więc żadnych skrótów. Wiem, jakie to denerwujące, kiedy ktoś modyfikuje nasze imię. Seymour... ładnie to brzmi. Mój drugi niedoszły narzeczony był twoim imiennikiem. Rzucił mnie tak samo jak Douglas. A ja jestem Natalia. Powtarzam na wypadek, gdybyś już zdążył zapomnieć. Tamten Seymour wciąż zapominał mojego imienia albo zwracał się do mnie Nal. Pod tym względem też się nie różnił od Douglasa. Co to za maskulinizacja? Czy ja mam jakieś cechy męskie?

Strojąc wdzięczne minki poczekała, aż temu zaprzeczę. Potem podjęła:

— Nie, przepraszam, Douglas nazywał mnie Natty. To z powodu, jak twierdził, mojej czystości psychicznej. — Odłożyła z rozterką widelec i dodała: — Obaj się zawzięli, żeby dostrzegać we mnie jedynie walory duchowe. Posmutniała trochę i był to autentyczny lub genialnie naśladowany smutek dziewczęcia przeżywającego swój pierwszy, ów najbliższy i najbardziej niewinny zawód miłosny. Niemal dałem się zwieść zapominając, że za tym gładkim czołem rzekomej dwudziestolatki kryje się bogaty w doświadczenia, krytyczny umysł pięćdziesięcioletniej kobiety.

Przy kawie wysłuchałem historii o stosunkach łączących Natalię z Douglasem Westrexem, o ich półtorarocznym szczęśliwym pożyciu i o niczym nie uzasadnionym zerwaniu.

— Zostawił mnie nagle i bez słowa — powiedziała Natalia. — Jakbyśmy się nigdy nie znali. Nie mam nic przeciwko swobodzie seksualnej, ekstrawagancji w zachowaniu, ale chyba należały mi się jakieś wyjaśnienia, tak czy nie? Owszem, starałam się czegoś dowiedzieć, telefonowałam do niego, nawet zaaranżowałam spotkanie, ale ile można się narzucać, upokarzać i wystawiać na obmowy? Te szeptki i chichoty, wiesz, jakie są baby.

— A on?

Zmąciłem tok jej myśli i przez moment zastanawiała się nad sensem mego pytania.

— Unikał mnie — odparła, znów filuterna i kokieterijna. — Wprost zmykał na mój widok. Czy ja rzeczywiście mam taką odstraszającą aparycję?

Dobrze wiedziała, że jest piękna, lecz chciała usłyszeć to ode mnie. Sypnąłem zdawkowymi komplementami, aby zaspokoić jej próżność. Przyjęła je z uśmiechem, marszcząc nosek i mizdrząc się do mnie bez cienia skrępowania. A gdy wyczerpałem swój repertuar, nieoczekiwanie wróciła do wspomnień.

— Jego w pewnym okresie prześladował pech — powiedziała — a Douglas nie miał

właściwego stosunku do przeciwności losu. Był perfekcjonistą i nie przyjmował do wiadomości istnienia siły wyższej. Projekt, z przyczyn od Douglasa niezależnych, w trakcie realizacji okazał się chybiony i Douglas uznał, że zawiódł nadzieję, którą pokładałam w nim ja i nasi zwierzchnicy. Więc kiedy po posadowieniu fundamentów na jego kosmodromie Emit–Second pękła płyta, a później...

— Emit–Second? — wyrwało mi się.

Natalia lekko przekrzywiła głowę.

— Coś nie w porządku?

— Powiedziałaś: Emit–Second. Czy to ma znaczyć, że ten kosmodrom zaprojektował Douglas

Westrex?

W udanym popłochu zasłoniła usta dłonią.

— Mam nadzieję, że nie zdradziłam żadnej tajemnicy wojskowej?

Uspokoilem ją tym samym, żartobliwym tonem. Lecz prawdę mówiąc, daleki byłem od żartów.

— Nie podejrzewałem Westrexa aż o taką wszechstronność — wyjaśniłem.

Brakiem wiedzy sprawiłem Natalii przyjemność.

Niewątpliwie dlatego, że dałem jej podstawę do rozwinięcia i kontynuowania opowieści o Douglasie — o co mi skądinąd chodziło.

— Przecież on z cywilnego wykształcenia jest geodetą — powiedziała — i omal nie został urbanistą. Wspominał ongiś, że jako chłopak miał ambicje decydować o rozwoju przestrzennym miast czy komunikacji miejskiej. Mówił o jakimś motelu... Kiedy skończył Akademię i przyszedł do nas na praktykę, skierowano go do naszej pracowni. Projektowaliśmy wtedy kosmodrom Emit–First. Douglasa, ponieważ Akademię opuścił z dodatkowym dyplomem specjalisty nawigatora, przydzielono do sekcji projektującej naziemne systemy nawigacyjne. Okazał się bardzo pomocny, ale jeszcze więcej wniósł, czym początkowo wszystkich zaskoczył, do sekcji geodezyjnej, gdzie pracowałam. Poznaliśmy się już od pierwszego dnia jego praktyki, odwiedzał mnie często i czasem przeglądał nasze projekty. Raz przypadkiem zapoznał się z wynikami badań geodezyjnych, a po tygodniu przyniósł opracowaną samodzielnie koncepcję budowy płyty startowej. Jego metoda była rewelacyjnie prosta, mniej pracochłonna i o niebo tańsza od dotąd stosowanych. Zlecono mu więc nadzór nad tą budową, a potem zaproponowano stanowisko kierownika sekcji geodezyjnej i wykonanie następnego projektu: zastępczego kosmodromu Emit–Second. Douglas był strasznie przejęty i rozentuzjasmowany. Podówczas mieszkaliśmy już razem i całe wieczory spędzaliśmy na snuciu marzeń i planów na przyszłość... Natalia urwała i potrząsnęła włosami.

— Ależ się rozgadałam! — rzekła. — A to wszystko przez ciebie. Potrafisz słuchać i słuchasz tak, jakby cię to naprawdę interesowało.

— Bo naprawdę mnie to interesuje — odpowiedziałem.

Przyjrzała mi się z niedowierzaniem.

— Jesteś oryginałem, wiesz? Dziś rzadko kto ma ochotę rozmawiać o czasach sprzed tej tak zwanej rewolucji informatycznej.

— Ja tamtych czasów prawie nie pamiętam. Jak wybuchła rewolucja, miałem dziewięć lat. Wiem tylko tyle, że z Emit–Second nigdy nie wystartował żaden statek.

Z namysłem zesnurowała wargi.

— Może faktycznie było w tym odrobinę winy Douglasa? — spytała sama siebie. — Nazbyt się śpieszył, za bardzo pragnął osiągnąć perfekcję. Jego ówczesne credo zawodowe: najszybciej, najekonomiczniej i najlepiej, w tamtych miesiącach okazało się nierealne i w efekcie dla niego zgubne. Inna sprawa, że Admiralicja potrzebowała wtedy takich ludzi. W sytuacji kiedy w obawie przed zniszczeniem automatycznych linii zmniejszono do minimum wielkość produkcji albo w ogóle

zamykano zakłady, należało stworzyć coś w rodzaju przeciwwagi, coś, co by zachowało pozory opoki obojętnej i odpornej na wstrząsy gospodarcze. W tym rząd upatrywał ratunku przed krachem zupełnym. W kraju raz po raz płonęły centra pamięciowe, wylatywały w powietrze komputery, zamieniały się w szmelc całe kombinaty, ale żadna z placówek Sił nie poniosła uszczerbku. Erceef były w rozkwicie. Starty i lądowania, sztucznie ożywiony ruch na kosmodromach, spektakularne transmisje z kosmosu, wszystko to zamierzone jako widowisko, demonstracja potęgi i świetności, dowód na bezsilność sabotażystów, których działalność komentatorzy starali się pomniejszyć, ukazać jako incydentalną i mało szkodliwą. Jednocześnie Admiralicja realizowała wytyczne rządowe, mimo fatalnej koniunktury nakazujące wszechstronny rozwój Sił. Szukano właśnie takich ludzi, jak Douglas: utalentowanych i błyskotliwych, przy tym ambitnych i gotowych podjąć każde ryzyko. I znaleziono ich. Szefowie Admiralicji byli zdania, że ludzie ci poradzą sobie bez cywilów, z których pomocy Admiralicja dotąd skwapliwie, choć z pogardą, korzystała, a którzy nagle się znarowili. Douglasowi i jemu podobnym było na rękę, że nie będą zależni od tych, jak ich nazywali, „bezczelnych, niesubordynowanych rozmamlańców”, co zwykle ustawicznie pętali się pod nogami i wtrącali wszędzie swoje trzy grosze. Nie wiem, jak inni straceńczy nowatorzy, ci rozrzuceni po stoczniach i hangarach erceefu, ale Douglas zrezygnował z usług cywilnych firm specjalistycznych. Do badań geodezyjnych gruntu wytyczonego pod płytę Emit–Second nie zatrudnił radiestetów, posadowienie fundamentów zlecił wojskowej ekipie budowlanej nie mającej pojęcia o tej robocie, płytę wykonał oszczędnościową metodą... Z wiadomym rezultatem...

Uroczo niecierpliwie Natalia strzepnęła palcami.

— Dlaczego mi nie przerywasz? — zapytała niemal z wyrzutem. — Ja gadam i gadam, zanudziłam cię na śmierć.

Była piękna, ale również inteligentna i elokwentna. Wypadało jej to przyznać. I była świadoma swoich zalet.

— Nie jestem z tych, którzy dobrowolnie odmawiają sobie przyjemności — odrzekłem.

— Przyjemności?

— Przyjemnością może być słuchanie kogoś.

Roześmiała się głośno i wdzięcznie.

— Doprawdy — powiedziała — doprawdy warto było się z tobą spotkać.

Spojrzała na zegarek, a później na mnie. Z miną winowajczyni.

— I mnie było przyjemnie. Niestety, o dwudziestej drugiej muszę być w swoim numerze, bo spodziewam się ważnego telefonu. Wybacz.

W swój szczególny sposób zmarszczyła nosek i przybliżając twarz do mojej, jakby prosiła o pocałunek, rzekła:

— Dziękuję za wyśmienitą kolację i za miły wieczór. I nie zapominaj o mnie.

Obiecałem, że nie zapomnę, po czym odprowadziłem ją wzrokiem do eskalatora i dalej — do oszklonych drzwi na półpiętrze, łączących restaurację z hotelem. Wyszedłem na dwór, w ciepłą noc, zaprzątnięty myślami, które z osobą Douglasa Westrexa miały raczej niewiele wspólnego. Księżyc, tuż przed pełnią, świecił jasno i czysto, i czułem jeszcze zapach Natalii. Nie jestem romantykiem, wszelako ulegałem poetyckiemu nastrojowi wzniosłej i zarazem ekscytującej obojętności wobec wszystkiego, co nie było bezpośrednio związane ze mną.

Wracałem do domu pieszo, przez ciemny park, nakładając drogi, aby przedłużyć ten stan kontemplacji. Było bezludnie i cicho, dolatywał mnie tylko odgłos kroków kogoś, kto tak jak ja zażywał spaceru. Ciągłe przed oczami miałem wewnątrz „Elaborate”, a w uszach brzmiał mi głos Natalii rozprawiającej o swym nieudanym narzeczeństwie. Jej opowieść uprzytomniła mi, do jak

odległych trzeba sięgnąć zdarzeń, aby przedstawić sobie sytuację gospodarczo–polityczną kraju w tamtych czasach oraz bodaj ogólny spłot przyczyn, które poprzedziły te fatalne dla Sił decyzje najpierw Komisji Rządowej, po niej zaś sztabu Royal Cosmos Force. Niepostrzeżenie jałem powątpiewać w sens tego, co robię. Bo komu i do czego moja robota była potrzebna? Opinii publicznej do odzyskania spokoju?

Opinię publiczną porusza dzisiaj każda bzdura podana do ogólnej wiadomości i poruszenie to trwa nie dłużej niż do momentu, gdy kraj obiegnie nowa elektryzująca wieść, że — przykładowo — gdzieś na prowincji aż przez pół godziny brakowało w kranach wody — co sprawia, że poprzedni bulwersujący opinię publiczną wypadek, choćby była nim kolejowa katastrofa stulecia, z punktu idzie w zapomnienie. Przez ostatnie dni niezbyt pilnie śledziłem krajowe wydarzenia; być może ludzie zajęci komentowaniem — powiedzmy — awarii, co pozbawiła pryncypalną arterię stolicy wczoraj wieczorem światła, przestali interesować się problemem, w który czy nie za bardzo dałem się wciągnąć.

Z rozmyślań wyrwało mnie bezceremonialne szarpnięcie za ramię. Zatrzymałem się zdezorientowany. Delikatny wietrzyk poruszał wypuszczającymi liście gałęzmi, kroki ucichły, a przede mną wyrosło trzech mężczyzn o twarzach osłoniętych mrokiem. Byli wysocy i mocno zbudowani.

— Seymour Lutz? — zagadnął stojący najbliżej i zarazem pośrodku.

— Tak — odparłem.

— Cyb Seymour Lutz? — zakpił wyzywająco ten sam.

Nigdy dotąd nie spotkałem się z taką bezczelnością i prawdę powiedziawszy, nie wiedziałem, jak zareagować. Mój przeciwnik stał sztywno, jego kamraci swobodniej.

— O co chodzi? — zapytałem.

Jaskrawy błysk rozjaśnił mi czaszkę. Na ułamek sekundy straciłem przytomność. Przywróciło mi ją zimno chodnika, smak krwi i ostry ból prawego łokcia.

Z trudem usiadłem na ziemi. Czyjeś dłonie dźwignęły mnie, oszołomionego, na nogi.

— I jak tam twoja plastikowa buźka? — usłyszałem. — Wytrzymała?

Ponownie oślepiło mnie światło, a potem, padając na płyty alejki, pograżyłem się w ciemności.

Tkwiałem w kabinie „Starflasha”, który koziółkując walił się prosto na skały. Kask w miażdżącym uścisku rozgniatał mi skronie, elektrody przepalały mój mózg sygnałami napływającymi z uszkodzonych układów sterowniczych.

Blok bezpieczeństwa! Co jest z tym blokiem?!

Czyjś głos rozkazywał, żebym wstał — ja, cyb śmierdzący towotem. Otworzyłem oczy i stwierdziłem, że nic nie widzę.

Sen? Urojenie? Napaść?

Dzieje się coś nierealnego...

Ostrożnie, niezwykle ostrożnie, rozpoznając po obolałych mięśniach położenie swoich członków, zacząłem się zbierać z ziemi. Przyjąłem chwiejną pozycję kuczną, jęcząc wyprostowałem nogi. Natychmiast padłem na kolana, dzięki czemu unikałem kolejnego ciosu, który przeszył powietrze tuż nad moją głową.

Jeden z napastników zarechotał.

— Dostarczamy ci materiału publicystycznego, cybie — powiedział. — Kiedy pismak się nudzi, to się czepia. Nie czepiaj się erceefu, pismaku, dobrze? Popisz sobie o dzisiejszym mordobiciu, a jak ci zabraknie tematu, wykombinujemy coś nowego.

Nareszcie udało mi się wstać. Nie zdołałem jednak utrzymać równowagi i poleciałem do przodu,

z prawą ręką zwisającą drętwo, z lewą — szukającą oparcia — rozpaczliwie wyrzuconą przed siebie. I w trakcie tego samozachowawczego ruchu spostrzegłem, że nim upadnę, dosięgnę jeszcze najbliższego napastnika. Bezwiednie, a może i z premedytacją, zacisnąłem palce i wymierzyłem pięść w drgający od śmiechu podbródek, wkładając w uderzenie całą siłę mięśni. Sięgnąłem celu; szczęka tamtego odpowiedziała suchym trzaskiem.

Lecz równocześnie spadająca z rozmachem dłoń uzbrojona w tępe żelazo trafiła mnie w plecy poniżej lewej łopatki. Runąłem na twarz, waląc czołem o beton.

VII. Iks

Było pochmurno, gdy tydzień temu z sali operacyjnej przywieziono mnie tutaj, do przesyconej wonią septofobu separatki. Doktor Zend (uroczy człowiek: zawsze jest w Decksance, kiedy mój organizm wymaga niezwłocznego remontu) z typowym dlań promiennym uśmiechem zapewnił, że wykuruje mnie z obrażeń szybciej, niż ich doznałem. „Wstrząśnienie mózgu, dwa pęknięte żebra i uszkodzenie torebki stawowej prawego łokcia — nawet felczer nie miałby tu wiele roboty”. Może bym mu uwierzył, gdyby nie ta przerażająca aparatura, co przez tydzień wyprawiała cuda z moim ciałem.

Także teraz niebo oblekło się chmurami. Elič, która codziennie odwiedzała mnie w szpitalu, po raz pierwszy przysłała z Albertem. Od pamiętnego wieczora, gdy po odzyskaniu przytomności poprosiłem ją przez radiowifon o wezwanie pomocy, odzyskała spokój, lecz na jej okrągłej buźce wciąż malował się frasunek i współczucie.

— Śledztwo trwa — powiedziała. — Na pewno ich schwytają.

Wraz z synem siedziała w nogach mego łoża i patrzyła na mnie zatroskana.

— Na pewno — potwierdziłem. — Jednemu z nich złamałem szczękę. Wystarczy, jak policja przejrzy zapisy w rejestrach szpitalnych.

Żona wzdrygnęła się.

— Okropność.

Albert natomiast wpadł w ożywienie.

— My się też lejemy z chłopakami — wyznał. — Ale jeden na jednego. A twoich to ilu było?

— Jedenastu — zełgałem, aby podnieść swój autorytet. Tą liczbą zaskarbiłem sobie szacunek syna.

— I wlałeś im? — zapytał.

— Wlałem.

— No, ale oni tobie też wlali — zauważył Albert posepnie. I zaraz, na moje usprawiedliwienie, dodał: — Tyle że ich było jedenastu.

— Dosyc tych bredni! — wtrąciła energicznie Elič. — Jeszcze słowo, a powiem Zendowi, żeby przetrzymał cię tu miesiąc dłużej. — Prychnęła z irytacją. — I ty chcesz, żeby Albert wzorował się na tobie?!

Łatwo mógłbym jej dowieść, że winiąc mnie za tę bijatykę, stawia mi fałszywe zarzuty, lecz machnąłem ręką.

Wystarczająco dużo zachodu kosztowało mnie zniechęcenie jej do indagacji o powód awantury, a mimo to Elič i tak nie uznała tej kwestii za zamkniętą. Odłożyła ją na stosowniejszą porę. Przyczyny podsłuchu mego wideofonu, pogroźek zawartych w przesyłce pocztowej, niedawnej bandyckiej napaści — były dla mnie oczywiste, niemniej i ja czekałem na okazję szczerzej z Elič rozmowy. Potrzebowałem bowiem porady psychologa. Informacji o admirale Westrexie zebrałem sporo, dysponowałem w miarę dokładnymi charakterystykami tego człowieka z różnych okresów jego życia, nie dawały się one jednak w żaden logiczny sposób ze sobą powiązać. Już nie szło mi o zbadanie

sprawy redukcji Sił, do której wyjaśnienia straciłem serce, zafrapowała mnie wszakże osobowość Douglasa Westrexa. I właśnie przy rozszyfrowywaniu tej osobowości liczyłem na pomoc Elič. Zwłaszcza że kolejny mój informator wzbogacił życiorys admirała o nowe fakty zupełnie już nie pasujące do wcześniej poznanych.

Wspomniany informator zapukał do mojej separatki niedługo po wyjściu Elič i Alberta. Przedstawił mi się z zastrzeżeniem, że jego dane personalne zachowam wyłącznie dla siebie. Respektując tę prośbę mogę o mym gościu powiedzieć tyle, iż był on mężczyzną w średnim wieku. Zmuszony jestem na domiar poniechać dokładnego referowania naszej rozmowy, gdyż między innymi omawialiśmy zagadnienia, których wyjawienie równałoby się dekonspiracji Iksa.

— Niech pan spocznie — poprosiłem, robiąc miejsce na skraju łóża.

Usiadł na brzeżku, przygarbiony.

— Jednego już ujęto — rzekł. — Złamał mu pan sztuczną szczękę, zuchwę ma całą. Znane są także nazwiska dwóch pozostałych, ale prokurator nie podał ich do ogólnej wiadomości.

— I nie poda — wtrąciłem. — A jeśli poda, to fikcyjne. Niebawem dochodzenie przejmą śledcze organa wojskowe. Moi napastnicy oficjalnie zostaną skazani na ileś tam lat, nieoficjalnie nadal będą robić karierę w Royal Cosmos Force.

Przyjrzał się czubkom swoich butów z krzywym uśmiechem.

— Zatem wie pan więcej, niż przypuszczałem. Może to i lepiej. — Podniósł wzrok na moją twarz. — Podziwiam pana, Seymour, ale ja w tej sytuacji dałbym za wygraną. Niech pan mnie źle nie zrozumie, niczego panu nie odradzam ani nie doradzam, chcę tylko pana zapewnić, że jeżeli pan zrezygnuje, mój podziw dla pana nie osłabnie. Jeżeli jednak — dodał wolno, niemal cedząc słowa — zamierza pan postawić na swoim, warto, żeby poznał pan fakty, których, zważywszy pański wiek, może pan nie znać.

Byłem bliższy rezygnacji, aniżeli myślał, mimo to powiedziałem, że chętnie go wysłucham. Zgodnie z moimi domniemaniami cofnął się w opowieści do lat sprzed rewolucji informatycznej i w skondensowanej formie przedstawił mi to, co usłyszałem wcześniej od Natalii Anzengruber. Lecz jego wersja miała odmienne zakończenie.

— O ile mnie pamięć nie myli — ciągnął Iks — w relacji pod tytułem „Przybysz” napisał pan tak: „Emit-Second był kosmodromem od początku pechowym. Zaraz po budowie płyty musiano podłoże futrować zastrzykami z betonu, bo jego gęstość nie była równomierna i w płycie następowały niebezpieczne naprężenia. Kiedy wzniesiono kopułę wieży kontrolnej, nagłe tąpnięcie zrównało ją z ziemią. Mnożyły się awarie urządzeń...” To niby prawda, ale nie cała. Z braku znajomości ówczesnych realiów, braku usprawiedliwionego zresztą, przemilczał pan przyczynę tych mnożących się awarii i ktoś by mógł podejrzewać projektanta lub budowniczego o błąd w sztuce. Tymczasem Emit-Second, jak później ustaliła komisja, został zlokalizowany, zaprojektowany i zbudowany zgodnie z normatywami urbanistycznymi. Pech tego kosmodromu polegał na tym, że stał się on poligonem dla dywersantów. Podziemne wybuchy, bombardowania infradźwiękowe, dostawy uszkodzonych przez sabotażystów podzespołów, które po zamontowaniu i uruchomieniu zamieniały się w złom i niszczyły współpracujące z nimi urządzenia...

— Kosmodrom Emit-Second? — spytałem. Odniosłem wrażenie, że Iks się zagalopował. — Przecież ten obiekt był strzeżony.

— Wszystkie obiekty wojskowe były strzeżone — odparł mój gość. — Strzeżone były pasy startowe, biura Admiralicji, budynki Ośrodka Szkoleniowego, magazyny, stocznie, doki, hangary, dyspozytornie, wieże kontrolne, wszystko, czym zarządzały Royal Cosmos Force. Ale wśród kadry Sił znajdowali się oficerowie, i to wysocy, którym zamęt gospodarczy sprzyjał w prowadzeniu

rozmaitych brudnych interesów. Sir Douglas Westrex...

Iks zrobił pauzę dla złapania oddechu. Śledząc jego wywód, machinalnie i z rozpędu skojarzyłem nazwisko admirała z rzeczonymi przed nim oficerami i zeszytniałem. W toku tej i poprzednich rozmów, w miarę zbierania faktów, porządkowałem je w myślach i na oczekaniu stawiałem z nich hipotezy, które każda zdobyta informacja w jakimś stopniu uzupełniała, modyfikowała czy przebudowywała albo wręcz w ułamku sekundy burzyła, żeby na jej miejscu mogła powstać hipoteza następna, uwzględniająca nowe okoliczności. Nazwisko admirała w tak niepocholebnym kontekście, w jakim je przez chwilowe nieporozumienie umieściłem, zabrzmiało nad wyraz sensownie; w krótkim momencie spojrzałem na całość z dystansu, nie wyróżniając baczniejszą uwagą żadnej z uzbieranych charakterystyk Douglasa Westrexa, i wtedy powiązały mi się logicznie wszystkie szczegóły sprawy. Zachnąłem się zaraz. Gdyby Douglas Westrex był jednym z tych sprzedajnych oficerów, nie byłby dzisiaj admirałem.

— Sir Douglas Westrex — podjął Iks kończąc zdanie — mimo licznych zajęć rozpracował tę siatkę hochsztaplerów i po stłumieniu rewolty przesłał do prokuratury stosowny raport. Spadło wówczas wiele szyszek...

Przytaknąłem. Ów raport także odegrał swoją rolę, kiedy kilkanaście lat później wybierano nowego szefa Admiralicji RCF. Zresztą większość przedsięwzięć Douglasa Westrexa przynosiła mu intratę. „Dug był dzieckiem powodzenia i sukcesu” — powiedziała pani Josephine Westrex. Bezsprzecznie miała rację, ale kim był jej syn z usposobienia, jaki był jego stosunek do własnych działań, do otoczenia, do siebie samego? Czy był dbającym o zachowanie godności, trzeźwo myślącym i beznamiętnym erudytą, głęboko wierzącym w enigmatycznego Boga i swoją szczęśliwą gwiazdę — jak z przekonaniem i obrazowo sugerowała jego matka? Czy może był — zgodnie z tym, co twierdził kontradmirał Milady i co sam stwierdziłem po pięciogodzinnym przeglądzie dokumentów w archiwum Admiralicji — inteligentnym cholerykiem? A może najtrafniej scharakteryzował go Roy Salaz widzący w nim targanego namiętnościami romantyka mającego, na domiar, pretensje do boskości; bądź też Natalia Anzengruber uważająca Douglasa Westrexa za utalentowanego, błyskotliwego oraz ambitnego ryzykanta i perfekcjonistę? A jeśli rację mieli oni wszyscy?

Po raz wtóry doznałem wrażenia, że wypowiedzi moich rozmówców tworzą w sumie, mimo pozornej rozbieżności, spójny i wyrazisty obraz Douglasa Westrexa. Niepotrzebnie koncentrowałem się na każdym z opisów z osobna.

Postępowałem niczym mucha, która łażąc po ścianie usiłuje zrozumieć, co przedstawia ułożona pod jej łapkami mozaika. Wystarczyło — że będę nadal trzymał się przykładowej muchy — pofrunąć na przeciwległą ścianę, aby ogarnąć spojrzeniem całość; wystarczyło, precyzując, przejść z pozycji obserwatora zaangażowanego na pozycję obserwatora postronnego.

I to mi się udało.

Sprzyjał mi w tym szpitalny nastrój, izolacja i pozbawiająca mnie emocji nuda, i czas, który z dnia na dzień — cóż za paradoks! — zacierał w mej pamięci posłyszane szczegóły z życia Douglasa Westrexa.

Iks wyszedł. Pozostawił mnie z uczuciem, że siedzę w ciemnym pomieszczeniu i że czekając, aż wzrok mój przywyknie do ciemności — wodzę ręką po posadzce, na której gdzieś — byłem przekonany — napisana jest odpowiedź na moje pytanie. Odpowiedź tę znalazłem dopiero po następnych dwóch tygodniach pobytu w szpitalu. Niewątpliwie dużo zawdzięczam rygorystycznie przestrzeganemu szpitalnemu regulaminowi, lecz bez pomocy Elič nigdy bym nie rozszyfrował tak dokładnie osobowości admirała Westrexa, motywów jego postępowania, jego wymagań, nastawień,

ambicji i dążeń. W tej mierze słowo doradcze doświadczonego psychologa okazało się nader cenne. Spędziłem na rozmowach z żoną szereg popołudni;

Elič, zrazu zdziwiona zmianą moich zainteresowań i nieufna, dała się jednak wciągnąć do tych rozmów. Przebiegu ich nie będę streszczał z braku miejsca i z obawy przed ośmieszeniem: składały się na nie naiwne pytania laika i fachowe objaśnienia specjalisty. Zaznaczę tylko, że pozwoliły mi one dojść do pewnych konkluzji. Nie były to bynajmniej konkluzje sensacyjne, raczej przygnębiające. I w takim właśnie nastroju, wkrótce po opuszczeniu szpitala, udałem się do stolicy, aby rzucić w twarz oskarżenie szefowi Admiralicji Royal Cosmos Force.

VII. Admirał Douglas Westrex

Z Decksance wyruszyłem po południu, żeby przed nocą dotrzeć do swej poprzedniej bazy: hoteliku „Pillow”.

Z każdym przebytym kilometrem traciłem ochotę na spotkanie z admirałem Westrexem i na przedmieściach stolicy obiecałem sobie, że jeżeli w „Pillow” — co daj Boże — nie będzie wolnych miejsc, uznam to za wskazówkę opatrności i bezzwłocznie wrócę do domu.

Miejsca były.

Wziąłem na przemian gorący i zimny tusz, aby wspomóc system nerwowy, i z pustym żołądkiem położyłem się spać, nazajutrz zaś po mizernym śniadaniu składającym się głównie z czarnej kawy pomaszerowałem do gmachu Admiralicji.

Załatwienie formalności w biurze przepustek przebiegło tak, jakby dyżurnych uprzedzono o mojej wizycie. Sierżant o anielskim uśmiechu przywołał adiutanta i ani się spostrzegłem, a już wieziono mnie windą, anonsowano w sekretariacie, wprowadzano do gabinetu Westrexa. Tak jak miesiąc temu admirał stał przed panoramicznym oknem i patrzył na miasto.

— Spodziewałem się pana — odrzekł na moje pozdrowienie. Obrócił się przodem do mnie i stwierdziłem, że wygląda kiepsko. — Jestem rad, że widzę pana w dobrym zdrowiu. Podobno był pan obiektem brutalnej napaści. Coś niecoś dowiedziałem się z prasy...

Pełen powagi ruszył w moją stronę z gotową do podania dłonią. Chyba nie przypuszczał, że ostatnim zdaniem wytrąci mnie z równowagi.

— Z prasy? — spytałem.

Udał, że nie było w tym pytaniu drwiny. Nie puszczając mojej ręki kontynuował:

— Pańscy redakcyjni koledzy ujęli się za panem. Budząca sympatię to solidarność, ale nie usprawiedliwia insynuacji i nieodpowiedzialnych ataków na Siły. Pan, jako oficer Royal Cosmos Force, zapewne podziela mój punkt widzenia.

— O jakich insynuacjach pan mówi?

Powiódł mnie do konferencyjnej ławy i nakłonił do zajęcia miejsca. Usiedliśmy naprzeciwko siebie.

— Spędziłem w separacie trzy tygodnie — powiedziałem. — Bez dostępu do jakiegokolwiek źródła informacji. Dopiero od dwudziestu czterech godzin jestem poza murami szpitala i nie zdążyłem nawet wysłuchać wiadomości. Wiem jednak, że ten, jak pan go nazwał, atak prasy na pewno Siłom nie zaszkodzi. Dzięki prasie wiele błędów popełnionych także przez Admiralicję Royal Cosmos Force udało się naprawić. Dowodem może być choćby reakcja Admiralicji na ubiegłoroczną prasową krytykę redukcji Sił sprzed lat piętnastu.

Douglas Westrex zmarszczył brwi.

— Więc i pan zamierza się przyłączyć do tej oszczerczej kampanii?

— Nie wiem, co pan rozumie pod określeniem „oszczercza kampania”, ale istotnie, zamierzam opublikować materiały ujawniające kulisy pewnych poczynań szefostwa Admiralicji.

Z lekka uniósł brodę.

— Ach — mruknął.

Spoglądał gdzieś poza mnie i wydało mi się, że nie dotarł doń sens mego oświadczenia. Dodałem przeto z naciskiem:

— Materiały, które demaskują pana, panie admirale.

Przeniósł wzrok na lśniący blat ławy.

— No, słucham — powiedział jak gdyby z roztargnieniem.

Pozostał niewzruszony w swoim patrycjuszowskim dostojęństwie. Budził tym respekt i nieznośne uczucie, że może się jednak myłę. Zawahałem się, nim podjąłem:

— Oczywiście nie jestem w stanie udokumentować wszystkich moich podejrzeń. Nie mogę dowieść, że to pan w dniach rewolucji informatycznej przy pomocy sabotażystów doprowadził do powolnej ruiny dzieło swoich rąk: kosmodrom Emit-Second; że to pan sfabrykował dowody, na podstawie których usunięto ze stanowiska poprzedniego szefa Admiralicji; że to pan przyczynił się do awarii bazy eksploatującej szelit na Io; że to wyłącznie pan, a nie Komisja Rządowa, zgotował Siłom upadek; że to pan sfalszował opracowany przez Roya Salaza projekt systemu ostrzegawczo-alarmowego „Barbary”, co zakończyło się katastrofą tego doku; że to pan przez cały czas swych rządów w Royal Cosmos Force skutecznie i anonimowo paraliżował wszelkie bardziej śmiałe, spontaniczne akcje przedsięwzięte zarówno w łonie erceefu, jak i przez dyrekcje cywilnych koncernów linii kosmicznych; wreszcie, że to pan zaniepokojony moją docieklivością, mając się przestępczych chwytów, usiłował mnie zastraszyć... Tego wszystkiego nie mogę dowieść. Ale mogę udowodnić, że wybór pana na stanowisko szefa Admiralicji był nieszczęsną pomyłką. Że pan nawet nie powinien zostać wcielony w szeregi Royal Cosmos Force. Że pan jest chory. Że pan jest ciężko chory, panie Westrex!

Wyrzuciłem to z siebie z ulgą. Admirał siedział wpatrzony tępo w blat ławy. Był blady, czoło i skronie miał wilgotne.

— Te... te pańskie kalumnie... — powiedział zacinając się. — Po co pan tu przyszedł? Co pan... chce osiągnąć?

Uniosłem ramiona.

— Niech pan złoży rezygnację — odparłem. — Pan musi się leczyć. Orzeknie tak każdy komputer medyczny. Pańska bezgraniczna ufność w opiekę boską, mistyczne przekonanie o własnej wyjątkowości, dążenie do perfekcji i pragnienie mściwego triumfowania nie pozostawiają wątpliwości co do stanu pańskiej psychiki.

Pokręcił gwałtownie głową.

— Nie, nie — rzekł. — Pan plecie bzdury. — Wyprostował się w fotelu. Usta miał ściągnięte. — Pan jest zwykłym wierszówkarzem i nie ma o niczym pojęcia! Admiralicja... Siły...

— Admiralicja i Siły — przerwałem mu — to w pańskim mniemaniu prywatne podwórko. Traktował pan tak erceef już jako kadet. Skąd się w panu wzięła ta pasja dominacji i niszczenia? Bo przecież przez cały czas swej służby, pomijając chwile, kiedy dawał się pan ponieść młodzieńczej potrzebie tworzenia, przez cały czas pan niszczył nie bacząc ani na koszty, ani na ofiary. Tak jak nie przebierał pan w środkach torując sobie drogę do władzy, tak samo bezwzględnie tłumiał pan wszelkie przejawy ekspansji kosmicznej. W rejestrze erceefu obejmującym katastrofy i nieszczęśliwe wypadki, jakie miały miejsce w okresie pańskiej służby, niewiele jest pozycji, na których ponowne zbadanie zgodziłby się pan bez oporów... Za co pan tak nienawidzi Sił, admirale? Czy za to, że zabrały panu ojca?

Douglas Westrex już dawno stracił nad sobą panowanie. Teraz uderzył pięścią w ławę.

— Milczeć! — krzyknął falsetem. Drżał mu podbródek i wargi. — Pan jest niespełna rozumu!

Czy pan wie... Czy pan wie...

Wstałem.

— Wiem. I przyszedłem to panu zakomunikować. Wnioski z mojej całotygodniowej orki, ze wszystkich rozmów z pańskimi krewnymi i znajomymi, z moich szpitalnych przemyśleń dadzą się streścić w jednym krótkim zdaniu: pan jest neurotykiem.

Przygarbił się i jak kobieta wtulił twarz w dłonie. Przez moment patrzyłem na jego drgające ramiona. Po raz pierwszy w mej karierze dziennikarskiej zamiast satysfakcji z ukończonej pracy odczułem współczucie i... niesmak.

— Pan jest naprawdę poważnie chory — powiedziałem, a potem ruszyłem do drzwi.

Nie miałem tutaj nic więcej do roboty.

Epilog

Z odniesieniem do redakcji reportażu „Admirał Douglas Westrex” zwlekałem przeszło kwartał i nawet byłem bliski rezygnacji, zwłaszcza że w miesiąc po mojej wizycie u szefa Admiralicji komunikaty doniosły, iż zażył on śmiertelną dawkę „Acherofilu” — środka podawanego przy eutanazji. Do opublikowania reportażu skłonił mnie rękopis, który dostarczył mi poprzez umyślnego notariusz admirała Westrexa, oraz niedawno powzięta uchwała Komisji Rządowej. Poniżej, z nieznacznymi skrótami, przedstawiam treść wspomnianego rękopisu:

„Komandor podporucznik rezerwy Seymour Lutz.

Niech Bóg ma w opiece Siły i nasz Kraj!

Układałem te zdania zaraz po mojej z Panem rozmowie. Wierzę, albowiem tylko ta wiara mi pozostała, że jest Pan człowiekiem, któremu prawdziwie leży na sercu dobro Sił. Dał Pan temu wyraz, mimo że nie ustrzegł się pan swoistej dziennikarskiej jednostronności i zacierzwienia, Wina to nade wszystko braku Pańskiego rozeznania w sytuacji, jaka miała miejsce w naszym kraju przed, w trakcie i po tak zwanej rewolucji informatycznej. Rewolucja informatyczna wybuchła trzydzieści jeden lat temu z inspiracji różnych ugrupowań. Wywołali ją subwencjonowani bezrobotni wspólni z przeciwnikami technizacji, mistykami z sekty „Tutaj na zawsze”, Bojownikami o Czystość Naturalnego Środowiska Człowieka i niechybnie z członkami rozmaitych grup natumesów i prymitywistów. To jednak zagadnienie dla socjologów. Rewolucję popierała część możnych zasiadających w rządzie. Byli to z reguły udziałowcy wielkich cywilnych koncernów spedycji i eksploracji kosmicznej, dążący do całkowitej likwidacji Royal Cosmos Force. W rewolucji upatrywali oni czynnik, który skutecznie zneutralizuje ich wojskowego konkurenta.

Od dawna sytuacja ekonomiczna kraju ulegała stopniowemu pogorszeniu. Z nadciągającego kryzysu zdawali sobie sprawę nawet ci politycy, którzy w kwestii RCF zachowywali neutralność. W przedsięwzięciach prewencyjnych ograniczali się oni do zabiegania o to, by w momencie przesilenia gospodarka cywilna nie odniosła zbyt dotkliwych strat. Kiedy się jednak okazało, że działalność organizacji wywrotowych wymierzona została przeciwko obiektom gospodarki cywilnej właśnie, politycy ci przyłączyli się do polityków popierających rewolucję — by główne uderzenie dywersji skierować, z dwojga złego, w Royal Cosmos Force. Wtenczas to środki masowego przekazu rozpoczęły chwałbę osiągnięć, wyczynów i sukcesów RCF, co miało na rewolucjonistów podziałać jak staroprzysłowiowa płachta na byka.

Zarzucił mi Pan nienawiść do Sił, mnie, który urodziłem się tylko po to, by służyć w Siłach i Siłom. Kosmodrom Emit–Second stworzyłem niemalże własnymi rękami, był on moim ukochanym dzieckiem, mimo to nie zawahałem się go poświęcić, gdy stanąłem przed dylematem: pozwolić na jego zniszczenie albo na zniszczenie Royal Cosmos Force. Dobrowolnie i świadomie skazałem go na zagładę.

W tajemnicy przed zwierzchnikami uczyniłem z niego wentyl bezpieczeństwa, ofiarę agresji rewolucjonistów. Zapewne znalazłoby się jeszcze trochę takich obiektów, do których ułatwiłem

dywersantom dostęp, osobliwie wśród obiektów na poły wojskowych, na poły cywilnych.

Po kilku miesiącach impet rewolty osłabł. Przywódców aresztowano, wymierzono im wysokie kary i oddano pod nadzór. Zniszczenia zostały odbudowane, życie wróciło do normy. Ale w rządzie nadal trwała ostra rywalizacja pomiędzy udziałowcami koncernów cywilnych a politykami, którzy nie chcieli dopuścić do likwidacji Royal Cosmos Force. Do tych pierwszych zaliczał się, niestety, szef Admiralicji. W tamtych latach nosiłem już mundur z naszywkami komandora podporucznika i jako pracownik pionu wewnętrznej służby wywiadowczej RCF miałem dostęp do dokumentów obiegu tajnego — stąd znam realia. Moja funkcja pozwoliła mi także zbliżyć się do sekty „Tutaj na zawsze”, dla której zyskanie sobie sympatii pracowników Sił było nad wyraz istotne. Po stłumieniu rewolucji jedynie ta sekta zachowała żywotność, co więcej, sukcesywnie poszerzała swe szeregi stanowiąc zwiększające się zagrożenie dla Royal Cosmos Force. Członkowie sekty wrodzy jakiegokolwiek, czy to wojskowej, czy cywilnej, ekspansji kosmicznej zeszli do podziemi i szykowali nową rewolucję. Udało mi się pozyskać ich zaufanie i zostałem ich bratem. W zamian za to, że sprzyjałem im w dokonywanych sporadycznie aktach sabotażu, pomogli mi oni, wykorzystując wpływy i znajomości, w awansie i zebraniu materiałów kompromitujących ówczesnego szefa Admiralicji — ich zdaniem — nie dość zdecydowanego w swoich posunięciach. Ja miałem zająć jego miejsce i definitywnie rozstrzygnąć kwestię RCF.

Przed szesnastu laty, przy poparciu większości członków gabinetu, zostałem mianowany na stanowisko szefa Admiralicji Royal Cosmos Force.

Likwidacja Sił była nieuchronna. Wiedziałem, że nastąpi ona za moją sprawą lub beze mnie, prędzej czy później, ale wiedziałem też, że nie wolno mi jej przeprowadzić natychmiast, jak tego po mnie oczekiwano. By przynajmniej w pewnym stopniu zadowolić moich protektorów, zredukowałem potencjał Royal Cosmos Force o 60 procent, a potem od czasu do czasu rzucałem na żer zniecierpliwionym braciom sekciarzom mało znaczące ze strategicznego punktu widzenia obiekty, co w przypadku „Barbary” skończyło się tragicznie dla załogi i co omal nie skończyło się tragicznie dla mnie i dla Sił. Odwlekałem tym sposobem finał i utrzymywałem w niepewności zwolenników radykalnych działań likwidacyjnych.

Powtarzam: koniec Sił jest nieuchronny. Idzie o to, by nie nastąpił w tym stuleciu, albowiem wtenczas nasz kraj znajdzie się na skraju katastrofy. Było to dla mnie oczywiste, jeszcze nim objąłem stanowisko szefa Admiralicji, powinno być oczywiste dla każdego, kto orientuje się w sytuacji międzynarodowej. Godząc się na częściową likwidację Sił zapobiegłem ich likwidacji całkowitej. Royal Cosmos Force już w tamtych latach były przeżytkiem, ale bezwarunkowo musiały istnieć, choćby w formie szczątkowej. Musiały i muszą jeszcze co najmniej te kilkanaście lat — niech Pan o tym pamięta!

admirał Douglas Westrex”

Przytoczyłem najistotniejsze fragmenty dostarczonego mi rękopisu. Pozostawiam go bez komentarza. Na marginesie pozwolę sobie zauważyć, iż ów rękopis zrazu utwierdził mnie w przekonaniu o chorobie admirała Douglasa Westrexa.

Zrazu — gdyż niedawne rządowe komunikaty zachwiały moim przekonaniem.

Oto, jak się dowiadujemy, Komisja Rządowa na ostatnio odbytym posiedzeniu powzięła uchwałę o rozwiązaniu Royal Cosmos Force, Kim przeto rzeczywiście był admirał Douglas Westrex?

Jacek Sawaszkiewicz

Kariera Johna Sthoffhansenna

Nikt — a indagowaliśmy setki rzekomo dobrze poinformowanych osób — nie potrafił powiedzieć, kim z pochodzenia był John Sthoffhansenn. Jednakowoż wszyscy przyznawali zgodnie, że zgubiła go pycha i ślepy arywizm. Ten niski, pięćdziesięciodwuletni mężczyzna o oliwkowej cerze i włosach jak z miedzianego drutu, szczupły i fertyczny, odznaczał się niespotykaną energią oraz iście piekielnym zmysłem handlowym. Kiedy przedstawiał swoją propozycję rządowi Mauretanii, dysponował już okrągłą sumą 1500 mln dolarów.

Jego ofertę przyjęto chłodno i ze zrozumiałą rezerwą, albowiem tylko żartowniś bądź pomylenieć mógł się ubiegać o wydzierżawienie 20 000 kilometrów kwadratowych piasku. John Sthoffhansenn był jednakże tak uparty, a przy tym proponował tak intratne warunki, iż przedstawiciele rządu, porozumiawszy się uprzednio ze sztabem ekonomistów i prawników, w końcu podpisali umowę, na mocy której Sthoffhansenn stał się na dziesięć lat właścicielem obszaru położonego wzdłuż dwudziestego równoleżnika w saharyjskiej części Mauretanii. Obszar ten obejmował blisko jedną trzecią Pustyni Ed–Dżuf, jak wiadomo nie wykorzystanej wówczas gospodarczo.

Natychmiast po podpisaniu umowy John Sthoffhansenn przystąpił do ogradzania wydzierżawionych 2 000 000 ha, równocześnie, za aprobatą rządu, zaczął budować autostradę i linie kolejowe biegnące przez pustynie: Azefal i Waran, i łączące port Etienne z jego terenami. Wraz z autostradą poprowadził rurociąg przesyłający wodę ze stacji pomp w Szyngetti. Pół roku później, kiedy ściągnięci z Europy specjaliści uruchomili wzniesiony wśród piasków reaktor jądrowy, konto Sthoffhansenna było niemal zerowe. Miejscowi biznesmeni z przerażeniem obserwowali kolejne inwestycje. Nie mieściło im się w głowach, iż ktoś ot tak sobie pakuje miliony w piasek. Zrazu kiedy John Sthoffhansenn pertraktował jeszcze z rządem, próbowali wciągnąć go do rozmaitych spółek, ale gdy dowiedzieli się o jego zamiarach, prędko dali mu spokój, wychodząc z założenia, że lepiej mieć za współnika diabła niż dziwaka lub, co gorsze, szaleńca.

W październiku John Sthoffhansenn zostawił swoją enklawę pod opieką zaufanego człowieka i zniknął na dwa miesiące. Złośliwi twierdzili, iż uciekł przed wierzycielami. Kiedy wrócił, na jego konto w banku w Nuakszott wpłynęło 5 miliardów dolarów.

Pewne dokumenty znajdujące się w naszym posiadaniu wskazują na zasadniczy zwrot w stosunkach między mauretańską finansjerą a Johnem Sthoffhansennem. Pokażna grupa przemysłowców, nie pytając Sthoffhansenna, dlaczego i po co inwestuje w pustynię, chciała gwałtem partycypować w kosztach, licząc w duchu na przyszłe zyski. Chodziły słuchy, iż piaski Ed–Dżuf kryją niespotykane złoża ropy naftowej, niektórzy zaklinali się, że idzie o wysokoprocentową rudę uranu, inni zaś, że o najczystszą żyłę złota. W obłędnym tempie poczęto rozkupywać ziemie leżące wokół enklawy Sthoffhansenna. Rząd, w trosce o własne interesy, wyśrubował ceny i niebawem za kilkunastohektarowe pastwisko czy pustynną działkę płacono niewiele mniej niż Sthoffhansenn zapłacił za swoje 20 tysięcy kilometrów kwadratowych. Pełnomocnicy rządu rozkładali mapy, spoglądali na owe Sthoffhansennowskie arealy i łapali się za głowę na myśl, ile by mogli za nie

wyciągnąć przy obecnych cenach. Zerwanie umowy było jednakowoż zbyt ryzykowne, przynajmniej dopóki nie wiadano, co Sthoffhansenn dalej planuje. Obserwowano go zatem pilnie, badano, jakie utrzymuje kontakty, drogą przekupstwa usiłowano dotrzeć do źródeł jego dochodów. Tymczasem John Sthoffhansenn najął tysiączną armię robotników i zaczął stawiać baraki. Po miesiącu sprowadził pierwsze maszyny, a po kwartale do portów Etienne i Nuadhibu przybił konwój złożony z dziesięciu stutysięczników pełnych tajemniczego ładunku. Po pięciu dniach statki odplynęły, a przywiezione kontenery załadowano na ciągniki gąsienicowe i platformy, po czym przetransportowano na teren enklawy Sthoffhansenna. Po ich otwarciu wybuchła sensacja: zawierały cuchnące, przemieszane odpady i śmiecie. Natychmiast na miejsce udali się reporterzy i dziennikarze. Rozmowa była prowadzona w atmosferze napięcia i nerwowości. Oto jak przedstawił ją jeden z reporterów poczytnego tygodnika:

„...W odległości dwóch godzin jazdy od ostatniego z baraków widzę na horyzoncie coś przypominającego gigantyczny park maszynowy. John Sthoffhansenn uwija się między dźwigami, spychaczami i wozami ciężarowymi. Dyryguje usypywaniem śmieci w hałdy. Wita mnie z jawną niechęcią. Dopiero po dłuższych namowach godzi się wsiąść ze mną do samochodu i oddalić od tego rumoru, warkotu, huk i smrodu. Zapalam silnik i ruszam. John Sthoffhansenn nie czeka na pytania, sam przystępuje do wyjaśnień. Snadź zależy mu na czasie.

— Pół roku temu — oświadczam — wszedłem w porozumienie z Departamentem Zdrowia Stanów Zjednoczonych. Za sumę dziesięciu miliardów dolarów rocznie zgodziłem się usuwać z ich terytorium wszelkie nieczystości i odpady, około 200 milionów ton co roku. Oczywiście pod warunkiem, że dostarczą je do tutejszych portów.

— Jednym słowem, zamierza pan zamienić pustynię Ed-Dżuf w śmietnik? — pytam.

— Tego nie powiedziałem.

— A jak pogodzi pan swój proceder z końcowym warunkiem umowy?

— To jest, zdaje się, ta klauzula o ochronie naturalnego środowiska? Proszę się nie obawiać, piaski oddam w takim stanie, w jakim je wydzierżawiłem. Liczę jednak na przedłużenie umowy. A teraz pan wybaczy, do jutra muszę z tym skończyć, bo pojutrze nadchodzi następna partia. Przesiada się do swojego wiłłysa, który przez cały czas jechał za nami, i tyle go widzę. Interesuje mnie sposób, w jaki John Sthoffhansenn pozbędzie się tych śmieci...”

John Sthoffhansenn rychło zaspokoił powszechną ciekawość. Nim minął kolejny miesiąc, uruchomił importowane agregaty przetwórcze (ich wykonanie zlecił firmom szwedzkim i japońskim) i przystąpił do pracy. Już w ciągu pierwszego roku z 220 milionów ton śmieci odzyskał 210 milionów ton deficytowych surowców, takich jak ropa naftowa (30 mln ton), papier (60 mln ton), wysokowartościowe żelazo (80 mln ton), także metale kolorowe itp. Sprzedał je następnie Stanom Zjednoczonym.

Sthoffhansenna zaczęto nazywać Królem Śmieci. Trzech biznesmenów spośród właścicieli, a raczej długoterminowych dzierżawców działek popełniło samobójstwo, pozostali, za śmiesznie niską kwotę, pozbywali się dowodów swego braku ostrożności i rozsądku. Jedyńm, rzecz jasna, nabywcą działek był John Sthoffhansenn. Powiększał on zresztą nie tylko tereny enklawy, lecz również moc przetwórczą rozbudowujących się stale kombinatów. Masowo ściągał też ludzi do pracy. Chętnych nie brakowało, albowiem płacił dobrze, ponadto zapewniał każdemu mieszkanie, a po podjęciu niejako ubocznej produkcji podstawowych sprzętów gospodarstwa domowego — skromne wyposażenie.

Do Królestwa Śmieci, zrazu w celach turystycznych, potem dla zysku, poczęły ciągnąć pielgrzymki cudzoziemców, nierzadko wyspecjalizowanych fachowców. Wszyscy nie bojący się roboty znajdowali tutaj zatrudnienie. Pracy było w bród, zwłaszcza iż John Sthoffhansenn nie poprzestał na śmieciach Ameryki. Jego propozycje skierowane pod adresem rządów: Anglii, Francji, Holandii, Belgii i Włoch, przyjęto entuzjastycznie i najszybciej, jak to było możliwe, sfinalizowano.

Tutaj wyłoniły się pierwsze kłopoty. Oba porty Mauretanii okazały się zbyt małe, ażeby przyjąć i terminowo rozładować zapowiadaną ilość kontenerowców. Przeto John Sthoffhansenn postanowił zbudować nowy port. Tym razem skorzystał z pomocy pchających mu do rąk swe kapitały przemysłowców, a mówiąc prawdę — ich to całkowicie obarczył tą budową, mgliście obiecując jakieś tam przyszłe udziały. Sprawili się szybko i należycie. W tym miejscu pragniemy zasygnalizować pojawienie się wyraźnych objawów megalomanii będącej pośrednią przyczyną klęski Johna Sthoffhansenna. Później wielu publicystów wracało do owego znamienego faktu, dodając skromnie: „...ab hinc wiedziałem, że tak to się skończy”, lecz nim ów koniec nastąpił, publicyści owi nie dzielili się z nikim swoją wiedzą, ba, gremialnie zapewniali, iż Sthoffhansenn postąpił nader słusznie, i gdyby tego nie uczynił, uczyniliby to za niego obywatele Mauretanii. Lawinę tych i tym podobnych wypowiedzi spowodował John Sthoffhansenn używając nazwie nowo wybudowanego portu swojego imienia.

Rząd Mauretanii ze strachem śledził poczynania Johna Sthoffhansenna, jednakowoż nie powziął żadnej decyzji. Niemały wpływ na bezwład aparatu rządzącego miały niewątpliwie częste subsydia otrzymywane od osobliwego lennika. Poza tym rozwojowi Królestwa Śmieci siłą rzeczy towarzyszył rozkwit całej republiki. Pozwalamy sobie przytoczyć jeden z wywiadów prasowych przeprowadzonych z Johnem Sthoffhansennem:

Redakcja: Jest pan bezprecedensowym przykładem nowoczesnego człowieka interesu. Jeszcze nigdy dotąd nikomu nie udało się osiągnąć tak zawrotnych zysków...

John Sthoffhansenn: Nie jestem człowiekiem interesu. Mnie po prostu cały prawie świat obdarowuje.

Red: Jak to rozumieć?

J. S.: Dosłownie. Otrzymuję pieniądze tylko za to, że przyjmuję od kilku państw surowce, które po oczyszczeniu — notabene przy niewielkim nakładzie sił i środków — eksportuję do tychże państw. To tak, jakbym od pani dostał brylantowe spinki razem z tysiąc dolarowym banknotem za ich rozpakowanie i wydobycie z etui, a potem odsprzedał je pani za dziesięć tysięcy.

Red.: Jest pan ponoć najbogatszym człowiekiem na świecie. Czy ma pan wiele udziałów w koncernach zagranicznych?

J. S.: Żadnego. Którykolwiek końcem byśmy wzięli pod uwagę, każdemu prędzej czy później grozi ruina.

Red.: Tak nieprzebrane zasoby finansowe wymagają jakiejś lokaty. Czy zamierza pan nadal inwestować w rozbudowę Królestwa Śmieci?

J. S.: Droga dziewczyno, jeżeli upiera się pani przy nazwie „Królestwo”, nie będę protestować, ale jednocześnie muszę panią zapewnić, że nie jest ono bardziej zaśmiecone od znanych mi państw przemysłowych.

Red.: Przepraszam. Może pan zdradzi swoje bliższe lub dalsze plany?

J. S.: Bliższe — nie. Co do dalszych — zamierzam kupić Stany Zjednoczone.

Red.: A tak poważnie?

J. S.: Czas pokaże. W każdym razie stać mnie na wiele.

Red.: Dziękuję za rozmowę.

Jakoż i czas pokazał. W ciągu roku John Sthoffhansenn przekształcił osiedle robotnicze w miasto, a po następnych dwóch latach wznosił na swoim terenie cztery podobne ośrodki przetwórcze. Zbudował także sieć dróg i linii kolejowych. Po czterech latach — licząc od dnia podpisania umowy dzierżawnej — enklawa Sthoffhansenna była już na tyle potężna gospodarczo, iż rząd Mauretanii odsprzedał swemu wasalowi kopalnie rud żelaza i miedzi (ponad 90 procent globalnego eksportu), i tym samym zdał na jego łaskę i niełaskę cały przemysł ciężki Mauretanii i tak już nadwątlony przez stworzoną wcześniej w Królestwie Śmieci konkurencję.

Po upływie kolejnych sześciu miesięcy John Sthoffhansenn przystąpił do realizacji niesłychanego planu: przeobrażenia enklawy wraz z zatrudnioną na jej obszarze półmilionową rzeszą pracowników w organizację państwową, na której stałby czele. Skrzętnie skrywana pycha i pęd do władzy objawiające się dotąd w snobizmie i manii wielkości eksplodowały w nim naraz z całą gwałtownością. Nie żądał tytułów ni zaszczytów, skądże, wszak skupione wokół niego setki tysięcy ludzi mogły z lada powodu, choćby dla kaprysu, rzucić wszystko i odejść. Pragnął tylko mieć „swój lud” i postanowił osiągnąć to za pomocą środków, którymi dysponował w nadmiarze, mianowicie za pomocą pieniędzy.

Nie zaniebując prowadzonych dotychczas interesów, poszerzając je nawet, wziął się do industrializacji na szeroką skalę. Na łamach prasy (wówczas już należącej do niego) omawiał kolejne etapy „gospodarczego cudu”. Na ponad 30000 kilometrów kwadratowych (wliczając odkupione działki) zdecydował się wznieść komfortowe, samowystarczalne miasto–państwo o wszechstronnie rozwiniętym przemyśle, stanowiące centrum produkcji materialnej kontynentu afrykańskiego.

I wbrew ogólnemu przekonaniu powyższy, zdawałoby się, szalony plan miał szansę powodzenia. Przyznajmy szczerze — John Sthoffhansenn zrealizował go w pięćdziesięciu procentach: dał zatrudnienie pięciu milionom ludzi, wybudował trzy miliony mieszkań, teatry, kina, stadiony, biblioteki, szkoły i wyższe uczelnie, banki i biura, sklepy, magazyny i salony, również dziesiątki fabryk, przedsiębiorstw i zakładów przemysłowych — wszystko po to, ażeby tworząc lepsze niż gdziekolwiek indziej warunki życia, zatrzymać ludzi, związać ich z enklawą — jednakowoż...

John Sthoffhansen, w swym wręcz nadludzkim przedsięwzięciu, może z braku doradców, a może z nadmiaru wiary w swe siły, nie przewidział jednego, że zginie pod własnymi śmieciami.

Jacek Sawaszkiewicz

Cerebrak

Siedzimy przy redakcyjnym stole. Osób, oprócz członków kolegium, jest sześć: profesor Starrwick, komisarz Roli, nadinspektor Huxley, inspektor Brewing, wywiadowca Stevess i pacjent kliniki psychopatologicznej — Adams. Rozmawiamy o krytycznych dniach lutego. Ta sprawa jest zupełnie świeża i zaproszeni do redakcji goście są nią nadal wstrząśnięci. Opowiadają o niej szczerze, niemalże wylewnie, jak gdyby chcieli wreszcie pozbyć się wciąż męczącego ich koszmaru. Podobną szczerą zdarza się zaobserwować u oskarżonych, którzy wiedzą, że tylko wyznanie prawdy i skrucha może ocalić im życie. A przecież żaden z tu obecnych nie zawinił świadomie, co zresztą znalazło wyraz w jednomyślnym werdykcie ławy przysięgłych brzmiącym: niewinni. Nasi goście kolejno relacjonują lutowe wypadki. Oddajmy im głos.

Inspektor Brewing:

11 lutego nadinspektor Huxley przyszedł do pracy blady i roztrzęsiony. Pomyślałem, że jego syn znów uciekł z domu i przystał do jakiegoś zbiorowiska naturnesów, tych smarkaczy, co walczą o powrót do prymitywu. Wezwał mnie do swego pedantycznie utrzymanego gabinetu. Usiadł za biurkiem niepewnie, jakby się obawiał, że fotel trzaśnie pod jego ciężarem, a kiedy chciałem się zbliżyć, osadził mnie:

— Niech pan zostanie przy drzwiach, Brewing!

Położył otwartą dłoń na ustach, jak to zwykle czyni, kiedy coś go gnębi, i przeciągnął palcami po policzku i brodzie.

— Trzeba skompletować ochronę osobistą dla profesora Starrwicka — powiedział. — Cztery zmiany, po dwóch ludzi na każdej zmianie, razem ośmiu. Niech pan wybierze najzdolniejszych. To wszystko.

„To wszystko”, w wydaniu nadinspektora Huxleya, oznacza koniec dyskusji. Wyszedłem zdziwiony, bo o profesorze Starrwicku nikt nigdy u nas nie słyszał, a poza tym wydawanie decyzji o ochronie przekracza kompetencje nadinspektora, a tu chodziło o ochronę, jaką ma chyba tylko prezydent. Przekazałem jednak dyspozycje szefa Stevensowi, który jest u nas kierownikiem komórki wywiadowczej. Stevess jęknął i spytał: „Upił się stary czy co?” Wzruszyłem ramionami i wróciłem do swojej roboty. Prowadziłem wtedy śledztwo w sprawie porwania Alice Wooley, córki przemysłowca Wooleya; kidnaperów, grupę rozwydrzonych smarkaczy, schwytaliśmy, kiedy przejmowali okup. Nazajutrz napisałem raport i zaniósłem go Huxleyowi. Huxley siedział ze wzrokiem wbitym w blat biurka.

— „Alice” zamknięta — powiedziałem, a on ani drgnął.

— Proszę zostawić akta — odpowiedział. — To wszystko.

W sekretariacie spytałem Lilien o Huxleya. Nie wiedziała, co się z nim dzieje, ale widać było po niej, że się martwi. Wkrótce stan Huxleya zaczął budzić ogólny niepokój. Nie rozmawialiśmy na ten temat, ale każdy z nas zastanawiał się nad powodem tej nagłej prostracji szefa. W następnym tygodniu, kiedy załatwiałem coś w archiwum, zajrzałem do jego gabinetu. Siedział znów w takiej

samej pozycji co trzy dni temu. Mój raport ciągle leżał na biurku; spod okładek skoroszytu wystawało kilka luźnych kartek dokładnie tak, jak podczas mojej ostatniej wizyty. Szef nie uporządkował tych akt, chociaż ich niedbały plik wyraźnie się kłócił z jego poczuciem estetyki — rzecz nie do uwierzenia, bo Huxley potrafi, przesłuchując podejrzanego, otrząść mu z kurzu marynarkę, a w tutejszym areszcie — oczku w głowie Huxleya — błyszczy jak w Wersalu. Kiedy wszedłem, popatrzył na mnie nieprzytomnie, mruknął: „Opanujemy sytuację”, i gestem kazał mi się wynieść.

16 lutego dokonano w naszym mieście zbrodni. Ofiarą był siedmioletni Peter Halloway, a morderczynią jego matka, wdowa po Donaldzie Hallowayu. Tego dnia Huxley wezwał kierowników na odprawę. Zachowywał się nienaturalnie, spacerował od ściany do ściany, ruchy miał szybkie i nie skoordynowane.

— Postępowanie przygotowawcze w sprawie Petera Hallowaya — powiedział — wszczęła prokuratura okręgowa. Nie było to dla nas nic nowego, bo wydział zabójstw w naszej jednostce nadrzędnej często zajmuje się przestępstwami na naszym terenie, ale zaskoczyły nas dalsze słowa nadinspektora Huxleya.

— Niech nikt się nie waży podejmować jakichkolwiek kroków — wyrębał przed tym swoim sakramentalnym „to wszystko”.

W parę godzin po odprawie z prokuratury okręgowej nadszedł telefonogram ponaglący nas do wdrożenia śledztwa. Straciliśmy głowy. Zebraliśmy się na głównym korytarzu i rada w radę postanowiliśmy zawiadomić komisarza Rolla.

Komisarz Rol:

Przyjechałem niezwłocznie. Po krótkiej rozmowie z inspektorem Brewingiem udałem się do nadinspektora Huxleya. Był w stanie całkowitego odrętwienia i nie zareagował na mój widok. W gabinecie panował nieład, biurko, na którym Huxley ledwie toleruje telefon, zarzucone było teraz teczkami i papierami. Pamiętam, że stanąłem przed biurkiem, oparłem się dłońmi o blat, pochyliłem nad Huxleyem i powiedziałem głośno:

— Huxley!

Huxley wbił we mnie tępe spojrzenie. Wycodził:

— To tabu!

Tabu — wtargnęła raptem do mego umysłu cudza myśl. — Nikt nie może poznać prawdziwych motywów mordu, to bezwzględna tajemnica. — Ta myśl nadeszła z zewnątrz, wprost poraziła mnie. Podporządkowałem się jej jak zahipnotyzowany.

Za żadną cenę nie wolno dopuścić, by sprawa Petera Hallowaya nabrała rozgłosu — sączył mi ktoś do mózgu. — Rozpoczyna się doniosły eksperyment socjotechniczny, śmierć Petera Hallowaya jest jego pierwszym etapem...

Nie wiem, co się wtedy ze mną działo. Wiedziałem natomiast, jakie będą kolejne etapy tego eksperymentu socjotechnicznego. Wiedziałem również, że ich echo wywoła poruszenie na całym kontynencie.

Trzeba — huczało mi w czasce — już w tej chwili tuszować skutki przyszłego eksperymentu. Odbędzie się on na stadionie, w trakcie meczu rugby. W kibicach podzielonych na dwa obozy zostanie sztucznie wywołany popęd agresji. Dokonane obserwacje umożliwią przeprowadzenie następnych eksperymentów...

Obawiałem się, że po masowej rzezi na stadionie przybędą do naszego miasta brygady śledcze z sąsiednich okręgów, rozpracują metody animowania ludzi i udaremnią dalsze próby, niewykluczone, że zagrożą egzystencji eksperymentatora.

Powyższe rozważania wskazują, że rozumowałem kategoriami złoczyńcy, ściślej — współnika. Uczucia i myśli odbierałem jako autentycznie własne i głęboko pragnąłem zapobiec ingerencji strażników prawa, która to ingerencja niezawodnie by nastąpiła, gdyby zaniechać przeciwdziałań. Jakże to miały być przeciwdziałania? Po pierwsze: odcięcie mieszkańców na pewien okres od świata; po drugie: zaktywizowanie grup przestępczych, by po zniszczeniu linii telefonicznych, po sparaliżowaniu łączności i komunikacji pomogły trzymać w szachu miejscową ludność przez czas, jaki byłby potrzebny na wyciągnięcie wniosków z eksperymentu na stadionie i na przygotowanie się do drugiego doświadczenia, obejmującego tym razem obywateli całego miasta.

Wraz z nadinspektorem Huxleyem przystąpiłem do opracowywania planu.

Nadinspektor Huxley:

Plan układaliśmy do północy. Odczuwałem pilną i nieodzowną potrzebę jego realizacji. Podobnie jak komisarz Roli. Stworzenie bezpiecznych i dogodnych warunków do eksperymentowania wydawało mi się konieczne. Tak samo jak zapewnienie stałej ochrony profesorowi Starrwickowi. Moim postępowaniem kierowała czyjaś silniejsza od mojej wola.

Uległem jej 11 lutego. Obudziłem się wówczas zlany potem. Byłem przekonany, że na profesora Starrwicka czyhają zamachowcy. Dotąd nie wiedziałem nawet o jego istnieniu. Od tego ranka jednak stał się dla mnie kimś, czyje życie było mi droższe ponad wszystko. Równowagę odzyskałem dopiero wtedy, gdy nasi chłopcy roztoczyli nad profesorem opiekę. Potem pogrążyłem się w apatii. Nie potrafiłem się zdobyć na samodzielna pracę. Spostrzegła to żona.

Usiłowała znaleźć przyczyny mego przygnębienia. Zamęczała mnie pytaniami. Aż nagle i ona popadła w marazm. Nie odbierała telefonów i prawie nie opuszczała mieszkania. Niekiedy godzinami wycierała z kurzu jedną i tę samą półkę kredensu. Zgadywałem, komu jej zobojętnienie zawdzięczam. Tak — zawdzięczam. Brak zainteresowania z jej strony pozwalał mi spokojnie zastanowić się nad sposobem zatarcia śladów morderstwa. Tego, którego wkrótce miała się dopuścić matka Petera Hallowaya. Sposób ten okazał się mało skuteczny i zbrodnię wykryto. Uciekłem się przeto do podania swym podwładnym fałszywej informacji o przejęciu śledztwa przez prokuraturę okręgową. Przeczący memu oświadczeniu telefonogram zaniepokoił ich. Powiadomili o wszystkim komisarza Rolla.

Z komisarzem Rollem stało się to samo, co z moją żoną i ze mną. Zaraz po przekroczeniu mego gabinetu niewolniczo podporządkował się cudzej woli. Od tego momentu byliśmy jednomyślni.

Wywiadowca Stevess:

Taka sama zgoda panowała między nami, między całą naszą ósemką z osobistej ochrony profesora Starrwicka. Trudno mi wytłumaczyć, czemu tak było, ale uważaliśmy go za kogoś najważniejszego pod słońcem. Darzyliśmy profesora jakimś opętańczym uczuciem, każdy z nas pragnął tylko służyć mu wiernie i oddać za niego życie. Ci którzy zdawali dyżur, zazdrościli tym, którzy go obejmują, że przez ćwierć doby będą przebywać w towarzystwie Starrwicka. Nie mogliśmy się wprost doczekać swojej kolejki, byliśmy gotowi skoczyć sobie do oczu, gdyby któryś z nas choćby o minutę przedłużył czas swojej zmiany. Ale przestrzegaliśmy karności.

Do pracowni nie mieliśmy wstępu. Warowaliśmy przed bramą albo krążyliśmy wokół willi, a koledzy z innych zmian zamiast korzystać z wolnego popołudnia czy wieczoru, tkwili po przeciwnej stronie jezdni, przestępowali z nogi na nogę i zerkali na zegarki. Kiedy Starrwick wychodził z domu, dyżurująca para wywiadowców szła za nim krok w krok, gotowa odpowiedzieć strzałami z rewolweru, gdyby jakiś przechodzień nagabnął profesora choćby o godzinę albo o wskazanie drogi.

Profesor Starrwick nie rozmawiał z nami. Żył jakby w innym świecie. Wydawało się nam, że stąpa po ziemi tylko dlatego, że pogrążony w ciągłej i głębokiej zadumie nieopatrznie zszedł z niebosiężnych wyżyn, na których mieszkał, i jeszcze nie zauważył, gdzie się znajduje.

Pacjent Adams:

Dzień wcześniej prasa doniosła o morderstwie, no więc dostawcy znikli z rogów ulic. Bali się, że policja urządzi nagonkę, jak to przy takich okazjach. Bity dzień łąziłem po deptaku — i nic. Około 18⁰⁰ spotkałem znajomego „szprycerka”. Odstąpił mi połowę dawki, ale co to było. Już w nocy czułem, że mnie bierze. Świtem, spięty i roztrzęsiony, poszedłem znowu na deptak. I znowu dostawców ani śladu. Wiedziałem, że zaraz się zaczną te drgawki, a jakby złapały mnie na ulicy, to murowany szpital. Kursowałem po mieście coraz bardziej rozdygotany, zaglądałem do naszych spelun i kombinowałem, skąd by tu wytrzasnąć trochę „prochów”. Przypomniałem sobie o jednym lekarzu, co miał u siebie narkotyki, bo często je kupował w aptece obok mojej kamienicy. Mieszkamy po sąsiedzku. Akurat nadjechał Henry. Z miejsca poznał, w jakim jestem stanie. Wziął mnie do swego Chryslera i podrzucił do domu. W samochodzie wcisnął mi butelkę dzinu i obiecał do południa załatwić mi „trawę”.

Wypiłem z butelki trzy czwarte, resztę zostawiłem na później. Potem się zakradłem do willi tego lekarza. Kwadrans wcześniej widziałem go, jak szedł w stronę śródmieścia razem z dwoma facetami, no więc willa była pusta. Przy drzwiach, nad dzwonkiem, wisiała tabliczka z nazwiskiem: Gerd Luis Starrwick. Do środka się dostałem przez okno od ogrodu, po dachu altany. Dzin mnie rozkręcił, ale dalej się czułem podle. Słyszałem w sobie jakiś głos. Ktoś nachalnie się domagał, żebym stamtąd pryskał. Pomyślałem, że to strach, i zeskoczyłem z parapetu na dywan. Byłem w jakimś gabinecie. W takich gabinetach nie przechowuje się lekarstw, no więc specjalnie się nim nie zajmowałem. Podszedłem do drzwi i złapałem za klamkę. I na tym koniec. Nie mogłem zrobić żadnego ruchu. Stałem jak przykuty.

Gdzieś w mieszkaniu stukał zegar, a za ścianą ciamkało i bulgotało jak w rurach kanalizacyjnych. Myślałem, że zdechnę. Mój kumpel, James Clinton, jak przez dwa dni nie dostał „prochów”, wyskoczył z dziewiątego piętra na betonkę. Tam w tej willi zaczynałem go rozumieć. Wreszcie jakoś mi się udało nacisnąć tę klamkę. W głowie miałem normalną karuzelę. Powłokłem się korytarzem, położyłem po kuchni, sypialni, salonie i wyłamałem drzwi do pracowni. I ciągle słyszałem ten głos, co paraliżował moje ruchy.

W pracowni pachniało czymś mdlącym i słodkawym i było ciepło jak w palmiarni. Z prawej, pod ścianą, stała szklana gablota, a w niej od cholery różnych słoików i słoiczków. Nie patrzyłem na etykiety, bo i tak nie znam łaciny, zresztą byłem prawie ślepy. Czasami chyba w ogóle traciłem przytomność. Odkręcałem tylko korki, wachałem i próbowałem na języku. Przez pomyłkę łyknąłem jodiny i o mało się nie udławiłem jakimś białym proszkiem, bo się nie chciał wysypać i dopiero jak klepnąłem w dno słoika, wpadło mi to świństwo do gęby, od razu ile go tam było. Tłukłem jakieś flaszki, przewalałem kartony, darłem opakowania i nie znalazłem niczego.

No i w końcu chwyciło mnie to. Czego ja tam nie nawyprawiałem! Złapałem jakiś stojak i tylko pryskały odłamki szkła i plastyku, fruwały papiery i leciały drzazgi. Aż wpadłem do tej niszy, gdzie stał ten wielki balon szklany. Wybiegały z niego rury i węże, a w środku była jakaś ciemna, pofałdowana i opuchła masa. Wziąłem zamach i całkiem zdrętwiałem. Myślałem, że ten głos rozsądzi mi mózgowicę. Straciłem czucie w palcach, stojak wysunął mi się z rąk i rąbnął w ten balon. Rozwalił go i tylko te śliskie strzępy chlapnęły na tapety. Poczulem się tak, jakby coś ze mnie spłynęło, i padłem na podłogę. Tak znalazł mnie profesor Starrwick.

Profesor Starrwick:

W XX wieku odkryto, że pewne czynniki sprzyjają regeneracji nerwów, nie wyłączając nerwów ośrodkowych. Wszelako regeneracja owa jest ledwie regeneracją reparatywną. Mnie, jako genetyka, interesowała możliwość hodowania komórek nerwowych poza ustrojem.

W ubiegłym roku z kliniki neuropatologicznej otrzymałem grudkę zrakowaciałych tkanek stanowiących część guza usuniętego chirurgicznie z mózgu pacjenta. Grudkę tę umieściłem w odpowiedniej pożywce. Tkanki rozmnażały się szybko i zdrowo; postanowiłem ich nie przycinać, dopóki nie osiągną masy przeciętnego ludzkiego mózgu. Początkowo ograniczyłem się do dbania o zachowanie stałych warunków środowiska i do wymiany pożywek. Następnie zamierzałem przystąpić do badań nad etiopatogenezą uzależnień lękowych, innymi słowy — zająć się problemem nadużywania środków pobudzających, odurzających i halucynogennych oraz ich zdolnością modulowania czynności ośrodkowego układu nerwowego, a tym samym poznać mechanizmy powstawania nałogów. W tym celu zgromadziłem sporo różnego rodzaju narkotyków, które w przyszłości miałem zamiar dodawać do pożywki. Oczywiście, hodowane prze mnie tkanki niewiele miały wspólnego z autentycznym ludzkim centralnym ośrodkiem nerwowym, niemniej żyły, i to dosyć aktywnie. Elektroencefalogram miejscami przypominał zapis trzęsienia ziemi.

Nigdy bym nie przypuścił, że w owym monstrualnie powiększonym guzie mózgu może zbudzić się świadomość. Rozrastał się wspaniale; po kilku miesiącach osiągnął pożądaną wielkość, wszelako nie zdecydowałem się na zahamowanie jego rozwoju. Przeniósłem go do większego naczynia, gdyż żał mi było kancerować i niszczyć komórki reprodukowane z takim mozołem i samozaparciem. To wzruszające, kiedy się widzi, jak z dnia na dzień przez pracowity podział przybywa żywej substancji organicznej. Ponadto zależało mi, aby mieć możliwie dużo materiału doświadczalnego. W ten sposób doprowadziłem do powstania tworu o masie circa 5 kilogramów, będącego gigantycznym skupiskiem neuronów, takich jakie tworzą korę mózgową. Pięć tysięcy gramów materialnego podłoża świadomości! Obecnie kiedy wiem, kiedy wiemy wszyscy, do czego zdolny był ów twór, jak wpływał na psychikę ludzi, nikogo nie zdziwi, że w dniach od 11 do 17 lutego zachowywałem się i reagowałem niczym psychastenik.

W wyhodowanym przeze mnie tworze osobowość wyprofilowała się prawdopodobnie w nocy z 10 na 11 lutego. Pierwszą obudzoną w kształtującej się ciągle jaźni zdolnością, objawioną zewnątrz, był skądinąd normalny instynkt samozachowawczy. Twór dążył przede wszystkim do zapewnienia sobie bezpiecznej egzystencji, toteż najpierw zaopiekował się mną, angażując w to także policję — byłem wszak jego mamką. Jednocześnie, penetrując umysły ludzkie za pomocą, jak przypuszczam, biofal — zapoznawał się z otoczeniem. W każdej sekundzie odbierał i analizował informacji daleko więcej aniżeli sztab wywiadowców wyposażonych w kamery i mikrofony.

Nakłonienie matki Petera Hallowaya do zbrodni było również — acz przerażającą — formą zdobycia nowych czy uzupełnienia już posiadanych informacji o świecie. Do następnych, jeszcze bardziej potwornych, eksperymentów na szczęście nie doszło, gdyż oto pojawił się pan Adams. Będąc pod euforycznym działaniem alkoholu, wspomaganego silnie pobudzającym uczuciem głodu narkotycznego, oparł się dysforyczno–psychastenicznym bodźcom wysyłanym przez cerebrak — tak nazwałem mój guz. Ostre zaburzenia świadomości pana Adamsa uniemożliwiły mu kierowanie się nią, zarazem utrudniły cerebrakowi skuteczne sterowanie tąże świadomością. I chwała Bogu!

Na zakończenie, korzystając z pośrednictwa prasy, pragnę zaspokoić ciekawość wszystkich tych, którzy pytają mnie o dalsze moje plany. Oświadczam przeto, że zdecydowałem się poświęcić bez reszty uprawianiu mego przydomowego ogródka. Do zajęcia się ogrodnictwem gorąco zachęcam

innych kolegów genetyków. Wszak hodowanie nowych odmian roślin to także, acz nieco prymitywna, manipulacja genami.

Jacek Sawaszkiewicz

Manekin

Kwestia Vittorio Viterbiego, włoskiego emigranta, pozostaje wciąż nie rozstrzygnięta. Wiele osób nie ukrywa, że uważa go za oszusta i mistyfikatora. Niektórzy wręcz utrzymują, iż Viterbi, pracownik municypalnego przedsiębiorstwa oczyszczania, był członkiem „Radioactive Gang”, czemu nie przeczy żaden z aresztowanych „mafioso”; wszelako żaden z nich również informacji tej nie potwierdza.

Gangsterzy milczą zgodnie, co prokuratorowi bynajmniej nie ułatwia zadania. Vittorio Viterbi zaś nie przypomina już sobie ani jednego szczegółu z krytycznego dnia. Pamięta tylko naszą rozmowę w redakcyjnym pokoju, nie potrafi jednak powiedzieć, jaki był jej temat. Moi liczni wrogowie, zwłaszcza dziennikarze z konkurencyjnych pism, inkryminują mi reporterską zachłanność, spotkałem się z zarzutem, że Viterbi nabrał wody w usta po otrzymaniu ode mnie pokaźnej sumy.

Rzeczywiście Viterbi stracił pamięć wkrótce po opuszczeniu redakcji, stało się to jednakże nie za moją przyczyną, lecz z nie ustalonych dotąd powodów. Biegli, pod których obserwacją Viterbi przebywał przez trzy miesiące, orzekli, iż engramy epizodów z pamiętnego dnia uległy wytarciu z jego mózgu: jest to nadzwyczaj rzadki wypadek tak wybiórczej amnezji. Prawdziwego i dokładnego przebiegu wydarzeń, które nastąpiły 17 grudnia ubiegłego roku w naszym mieście, nie zna zatem nikt, nikt oprócz autora niniejszego artykułu. Vittorio Viterbi bowiem, nim wyszedł z budynku prasowego, zdał mi obszerną i wyczerpującą relację. Pewne zawarte w niej fakty mogą potwierdzić: komisarz Qverless, który przesłuchiwał Viterbiego, Luciano Normi — kierowca śmieciarki, oraz specjalista radiolog zatrudniony w komórce medycyny sądowej.

A oto co wyznał Vittorio Viterbi w trakcie swej wizyty w redakcji.

O czwartej rano temperatura spadła do minus 16 stopni i w tych niby odpornych na wiatr, ocieplanych kombinezonach żeśmy się trzęśli z zimna. Luciano jest mniej wytrzymały na mróz niż ja, więc nie wytykał nosa z szoferki. Musiałem tyrać za nas obu, ale żał mi było gonić go do roboty, bo to przecież rodak i w dodatku Sycylijczyk: facet, co w kraju śniegu na oczy nie widział. A śnieg tego dnia był po kolana; dostawał się za filcaki, trzeba go było wytrząsać z butów. „Fatty”, dyspeczer, kazał nam jechać do wschodniej dzielnicy willowej — to najrozleglejszy rejon w Bellingham. W tamtejszych kubłach często można znaleźć coś, co chętnie kupi stary Bemi albo ten kutwa Joachim. W zeszłym roku, na przykład, znalazłem całkiem porządne futro; stary Bemi dał mi za nie 75 dolarów, a jakbym nie był wstawiony, tobym utargował pewnie i setkę. Dzisiaj jednak ani Luciano, ani mnie nie chciało się grzebać w śmieciach, marzyliśmy, żeby jak najszybciej skończyć pracę i wpaść do Freda na gorącą herbatę z rumem. Na Amethyst Avenue prawie nie wysiadałem z wozu, bo pojemniki były puste, i żeśmy się zatrzymali dopiero pod numerem pięćdziesiątym dziewiątym. Ten dom stoi od sąsiednich w sporym oddaleniu, mieszka w nim jakiś naukowiec z żoną. Oboje wykształceni, zdawałoby się — porządni, ale śmieją, że nie daj Boże! Już z daleka spostrzegłem tę kukłę. O szóstej jest jeszcze ciemno, Amethyst Avenue to aleja wyjątkowo źle oświetlona, dlatego najprzód pomyślałem, że to ktoś z domowników upycha do kubła nową porcję szpargałów.

Sylwetka była pochylona i w blasku reflektorów jak gdyby się poruszała. Wylazłem z ciepłej

szoferki, podszedłem bliżej, nawet pozdrowiłem tę kukłę. Prawą, zgiętą w kolanie nogę ułożoną miała na kuble, ugiętymi rękami opierała się o brzegi drugiego, a lewą nogą, wyprostowaną, dotykała ziemi — jakby zastygła w momencie, kiedy okrakiem przedostawała się na tamtą stronę pojemników.

Leżała tak od niedawna, nie dłużej niż przez tę noc, bo wczoraj wieczorem sypał śnieg i wszystko wokół było nim zasłane, a na niej nie osiadł bodaj jeden płatek. Przywołałem Luciano i pokazałem mu, co znalazłem.

— Manekin — powiedział Luciano. — Zwykły manekin, jak te w supermarketach.

Dokładnie żeśmy go obejrzel. Był zupełnie nowy.

— Bierzemy? — spytałem.

— Co na śmietniku, to twoje.

Racja, nikt do kubła nie wpycha rzeczy potrzebnej, a skoro wpycha, niech ma pretensje do siebie.

Opróżniliśmy kubły, potem żeśmy przetransportowali manekin. Był cholernie ciężki, ważył chyba dwieście funtów, z trudem udało nam się wtaskać go do kabiny. Luciano zaproponował, żeby jechać zaraz do mojego mieszkania, zostawić tam kukłę i wtedy wrócić do pracy. Nie opierałem się, chociaż niebezpiecznie jest podpaść dyspeczerowi, ale w końcu z paliwa rozlicza się Luciano, nie ja. Przez drogę rozważałem, komu ten towar opylić. Stary Bem, jak go przycisnąć, da więcej niż ten sknera Joachim, co zedrze z człeka skórę razem z podeszwami, ale manekiny raczej go nie interesują. Z Luciano żeśmy ustalili, że jutro po fajerancie, jak tylko z grubsza oporzadzę kukłę — była tu i ówdzie przybrudzona — zaniemiemy ją do któregoś ze sklepikarzy na Trade Street, może da za nią z pięć dych.

Na Washington Square zajechał nam drogę wóz policyjny; Luciano ledwo zdążył zahamować, a mnie ciarki przeszły po plecach: pomyślałem, że gliny gonią za nami; minął nas pełnym gazem, z włączoną syreną, i pognął w kierunku city. Kiedy żeśmy wracali do swego rejonu, spotkaliśmy jeszcze dwa radiowozy i kolumnę czarnych limuzyn, jakimi się rozbijają nasi bonzowie. Przed skrzyżowaniem Amethyst Avenue z ulicą pryncypalną dyrygujący ruchem glina kazał nam skręcić w Village Avenue i nie zatrzymywać się w promieniu kilometra; widocznie w tych limuzynach siedziały nieliczne szyszki. Musieliśmy robić koło, bo między Amethyst Avenue a Village Avenue nie ma przejazdu.

Kosztowało to nas dodatkowy galon paliwa. Luciano powiedział, że chyba znowu strajkują pocztowcy albo i kolejarze — stąd tyle zamieszania — i że może wreszcie wykopią ze związków zawodowych tych spaślaków, co się rozwalają w fotelach i patrzą z góry na robotnika.

Dochodziła siódma, więc żeśmy się zatrzymali przy automacie, żeby kupić „Bellingham Daily Express”. Poranne wydanie tej gazety zwykle obfituje w różne ciekawe informacje, miałem nadzieję znaleźć w niej coś na temat dzisiejszych wydarzeń. O strajku nie było ani słowa, chociaż dziennikarze z „Bellingham Daily Express” nie przepuszczają takich okazji. Przeczytałem, że Amarantowi rozgromili Zielono-Żółtych w trzech setach; że w „Cadillaca” kongresmana Josiaha Gibsona wykryto bombę zegarową, która powinna wybuchnąć wczoraj po południu, kiedy Gibson wracał do domu, ale nie wybuchła, bo zamachowcy zapomnieli nakręcić zapalnik czasowy; że w nocy zaobserwowano nad Bellingham klucz „latających talerzy” i że uprowadzono córkę gubernatora Bumleya. O strajku więc nie wspomniano słowem, za to na pierwszej stronie, pod czerwonym nagłówkiem: „Radioactive Gang Grozi Światu” zamieszczono pemokolumnowy artykuł. Redakcja z tytułem mocno przesadziła, ale i tak, jak artykuł przeczytałem, poczułem się nieswojo. Od lat z Ośrodka Badań Jądrowych ginął uran, jednak złodzieje nigdy się nie odważyli sklecić bomby atomowej, a już przez myśl nikomu nie przeszło, żeby jacyś zwyrodnialcy śmieli taką bombą potrzasać i szantażować spokojnych i solidnych obywateli. Bellingham to nie Udine czy Modica, ale

ja i Luciano na stałe ześmy się z nim związali. W następnym roku Luciano ma dostać mieszkanie w nowym wieżowcu, a ja i Charlotta z pralni mistress Pitkins planujemy się pobrać, dlatego wizja naszego miasta, obróconego w perzynę i popiół, zdrowo mną wstrząsnęła. Luciano wpadł w ponury nastrój, powiedział, że po wybuchu bomby atomowej dopiero będzie co wywozić na wysypisko; na to ja, że raczej chyba nie będzie, bo całe Bellingham stanie się jednym wielkim wysypiskiem i cmentarzem dla tych, co z nadmiaru głupoty pozostaną tutaj. Potem ześmy postanowili jechać do „spot” Freda na herbatę chrzczoną rumem. Klientów o tej porze jest tam dużo: czwarta zmiana z „plush factory” ściąga na „nourishing sandwiches”, parówki i grzane piwo; znamy niektórych bywalców. Przysiedliśmy się do Edgara i jego kumpli, co siedzieli przy różnie w oparach dymu i smażonego tłuszczu. Rozmawiali oczywiście o zagrożeniu.

— Te sukisyny — zawołał Romio (Romio, jak mówi o kimś, o kim nie ma dobrego mniemania, używa zawsze określenia „sukisyn”) — te sukisyny zażądały od władz miliarda dolarów!

— W przeciwnym razie dokonają eksplozji — dokończył Edgar i popatrzył na nas, jakby sprawdzał, czy się orientujemy w temacie. Luciano rozłożył na zalanym piwem blacie gazetę.

— Dla pewnych gości miliard to jak smarknąć — powiedział — szczególnie jak płacą z cudzej kieszeni.

— Trzeba się stąd wynosić — wtrącił „fleet” Tom. — Nie uśmiecha mi się los tych brojlerów — zachichotał i pokazał na rożen.

— Masz czas. Te sukisyny dały trzy dni na zebranie pieniędzy.

Po uwadze Romia ześmy zmarkotnieli. Uświadomiła nam beznadziejność sytuacji, której nie wyjaśni nawet złożenie okupu: bomba, skoro się nią bawią nieodpowiedzialni faceci, wybuchnie prędzej czy później, i to „prędzej” może nastąpić o wiele prędzej, niż się ktokolwiek spodziewa. Wstałem i skinąłem na Luciano.

— Nie pogadacie? — spytał Roger, który właśnie się precisnął do naszego stolika. Roger pracuje w prywatnym przedsiębiorstwie spedycyjnym jako kierowca. — Ruch jak przed potopem. Taryfy przewozów podskoczyły dziesięciokrotnie.

— A ty czemu nie jeździsz?

— Jeżdżę. Zostawiłem wóz za rogiem, na podwórzu maklera Douby’ego. Rodzina ładuje dobytek. Żebyście zobaczyli te meble, obicia, dywany...

Wyciągnąłem Luciano na dwór. Dniało. Zajęliśmy miejsca w szoferce, kiedy wywołał nas dyspeczer. „Fatty” był roztrzęsiony, on ma sporo do stracenia, tyle ile Fred albo makler Douby; polecił nam natychmiast wracać do bazy i coś jeszcze, lichy wie co: krótkofalówka trzeszczała okropnie — zawsze trzeszczy, jak samochód postoi dłużej na mrozie. Wróciliśmy skrótem przez Exit Lane i dalej, przez Paludal Alley. Po drogach kręciło się mnóstwo patroli pieszych i zmotoryzowanych, widzieliśmy też transportery wojskowe. Najbardziej panikowały kobiety. Kiedy ześmy przejeżdżali przez dzielnicę willową, zatrzymał nas jakiś tłusciuch.

Spytał, czybyśmy nie mogli mu pomóc wywieźć z miasta manele. Luciano odpowiedział, że owszem, możemy wywieźć jego manele, ale na śmietnisko. Na dokładkę wyraził się brzydko o różnych bydlakach i aż do bazy wymyślał na tego tłusciucha, który chociaż jest lichwiarzem, przecież nie ma nic wspólnego z „Radioactive Gang”. Dyspeczer przywitał nas okrzykiem ulgi, kazał jutro się stawić o normalnej godzinie, a teraz — wynosić się do diaska. Zapłacił nam za pełną dniówkę. Na piwo ześmy nie mieli ochoty, poza tym Luciano pilno było do dziewczyny, rozstaliśmy się więc przed bazą. Do domu dotarłem metrem. Postanowiłem się przebrać i pojechać do zakładu mistress Pitkins, żeby się zobaczyć z Charlottą. Na stacji Bright Field, przy której mieszkam, przypomniałem sobie o manekinie. Zrobiło mi się żal tych pięćdziesięciu dolarów prawie już bezpowrotnie straconych: w

całym Bellingham nie znajdzie się taki, co zechce przeprowadzić jakąkolwiek transakcję, kiedy mu nad głową wisi kilkadziesiąt tysięcy ton trotylu. Przygnębiony otworzyłem drzwi i wszedłem do środka. Manekin spoczywał skulony na moim łóżku. Przysięgłbym, że zostawiłem go leżącego w innej pozie, z lewą nogą wyprostowaną, a teraz miał obie podkurczone. Pomyślałem, że może odtajał i tak go skrzyło. Rozpaliłem w trociniaku, rozwiesiłem nad nim wilgotną po wczorajszej przepiórcie koszulę — Charlotty nie śmiem prosić o takie usługi, dość się naharuje przy cudzych brudach — a potem się wziętem za manekina.

Zawlokłem go na środek pokoju, w pobliże piecyka, pod żyrandol, żeby lepiej Widzieć. Wyobrażał kobietę, właściwie dziewczynę, raczej wiernie, o ile znam się na tych rzeczach. Był mniej brudny, niż początkowo sądziłem; najbardziej powalane i obtarte miał przedramiona, reszta, oprócz prawego kolana i lewej stopy, lśniła czystością. Z plamami się uporałem za pomocą szczotki i wywabiacza w aerozolu, obtarcia pozostały i jak patrzyłem na nie, odnosiłem wrażenie, że to skaleczenia na ludzkim ciele. Zresztą przez cały czas wywijania szczotką i pucowania tego przeterminowanego czeku na pięćdziesiąt dolarów wydawało mi się, że oddaję ostatnią usługę autentycznemu nieboszczykowi. Czyściłem go bezinteresownie, czekając, aż wyschnie koszula, z przeświadczeniem, że jak Charlottą zdecyduje się opuścić miasto, zostawię go tutaj na pastwę losu razem z kopącym trociniakiem i innymi gratami.

O dziewiątej dźwignąłem się z klęczek, szczotkę i puszkę z wywabiaczem cisnąłem na skłębioną pościel, poszedłem się umyć. Koszula wyschła, tylko kołnierzyk i mankiety trzymały jeszcze wilgoć; wciągałem ją na grzbiet, kiedy usłyszałem za sobą szelest. Obejrzałem się i zmiękły mi kolana. Manekin siedział. Stałem skamieniały, a mojemu umarłakowi przybywało wigoru. Kukła podciągnęła nogi, oparła się dłońmi o ziemię, a potem wolno, wolniutko i chwiejnie przybrała pozycję pionową. Powieki jej zadrgały i uniosły się, patrzyła na coś poza mną, tępo i uporczywie.

— All right — wystękałem — zgoda: w tym stanie rzeczy jesteś na powrót własnością tego zwariowanego naukowca. Do kubła trafiłaś przez nieporozumienie: nie roszczę do ciebie żadnych praw.

Kukła pokręciła głową. Jej szaroniebieskie oczy prześliznęły się po otoczeniu. Stary Bem i za taki cyrk bez ociągania by dołożył zero do tej zdechłej już z kretesem pięćdziesięciodolarówki.

— Oddam cię właścicielowi — powiedziałem. — Nigdy nie wyciągnąłem ręki po cudze.

Kukła obróciła się wokół własnej osi, postąpiła krok do tyłu. Byłem przygotowany na atak; wcale bym się nie zdziwił, jakby naraz zaczęła demolować mi chałupę albo wybuchła. Zdziwiłem się za to, zląkłem się wprost, kiedy wydała z siebie pierwsze dźwięki.

— Kon... — powiedziała niewyraźnie — kon... takt... Poruszała wargami jak prawdziwy człowiek! Rany! To jedno jedyne słowo, powtarzane przez tę kukłę w którymś z tych nocnych lokali przy „purple ground”, w ciągu miesiąca by mi nabiło kabzę.

— Kontakt — powiedziała kukła znowu. — Brak koordynat.

Mówiła do kogoś, kogo nie było w tym pokoju, mnie nie dostrzegała. Zastanawiałem się, co zrobić. Wpadało ją zwrócić i skłaniałem się do tego — chociaż idę o zakład, że niewielu w mojej sytuacji by zaprzepaściło taki majątek — ale zależało mi trochę, żeby to gadające dziwo obejrzała Charlotta.

Na wspomnienie artykułu z „Bellingham Daily Express” odeszła mi ochota na zajmowanie się kukłą. Wyglansowałem kamasze, wdziałem futrzaną kurtkę i rzuciłem przez ramię:

— Kontaktuj się, kontaktuj! I zmiataj stąd albo niech cię ten twój konstruktor zabiera!

— Zostań! — kukła powiedziała to do mnie tonem rozkazującym. Stałem jak wryty. — Są koordynaty. Nawiązałam kontakt. Będziesz mi potrzebny.

Patrzyła mi w oczy rozumnie i hardo. Dalibóg, przeraziłem się. Jakby była człowiekiem, tobym wiedział, jak zareagować, a tak sterczałem niezdecydowany na progu, w otwartych drzwiach, i modliłem się w duchu, żeby mieszkająca nade mną emerytka, madam Sylvia, która odkąd się tu wprowadziłem, regularnie nachodzi mnie pod byle pretekstem, podpatruje, węszy i roznosi plotki po sąsiadach — nie złożyła mi wizyty. Do południa cały blok by wiedział, co się wyprawia w mojej suterenie, kto mnie odwiedza i w jakim stroju paradyją moi goście.

— Zamknę drzwi — odezwałem się cicho.

— Do czasu zero pozostało 58 godzin, 32 minuty — powiedziała kukła. Nie spuszczała ze mnie wzroku. — Za trzydzieści cztery godziny Bellingham obejmie zagrożenie I stopnia. Nie wolno do tego dopuścić. Czy wiesz, gdzie stoi kościół katedralny?

— Wiem — odparłem machinalnie. — Tuż przy knajpie „Seven Rooms of Joy”.

— W podziemiach kościoła katedralnego, w krypcie grobowej, trzech ludzi montuje teraz inicjator do bomby atomowej.

Formalnie odjęło mi mowę. Nie wiedziałem, czego się więcej bać: jasnowidzącego manekina czy piromaniaków. Działanie całej tej czwórki zdało mi się jednakowo bezsensowne i groteskowe. Oparłem się o framugę.

— Opanuj się — powiedziała kukła. — Trzeba zawiadomić władze. Policja powinna wejść do akcji, nim inicjator będzie gotów.

— Może pogadasz o tym ze swoim właścicielem? — spytałem.

Kukła jak gdyby nie słyszała.

— Spóźnienie wywoła nieodwracalne skutki — ciągnęła. — Człowiek w impasie postępuje alogicznie. Jego zachowania są typu odruchowego.

Jazgotała tak dobre dziesięć minut. Próbowałem jej przerwać: nie znoszę, jak się obala naturalny porządek rzeczy — kto to widział, żeby manekiny rządziły ludźmi?! — poza tym nie wierzyłem jej za grosz, pomijając to, że byłem do cna rozgoryczony stratą forsy; próbowałem więc odmówić wykonania jej poleceń, bo z glinami wolę się nie zadawać — ale poczułem, że to ja, właśnie ja, muszę podporządkować się jej woli. Odtąd poruszałem się jak we śnie. Zdjąłem z wieszaka zapasową odzież, pomogłem kukle ją włożyć, potem żeśmy wyszli na ulicę. Przechodnie nie zwracali na nas uwagi; w tym ogólnym rozgardiaszu pewnie i widok parowozu sunącego chodnikiem nie wzbudziłby zainteresowania. Na skrzyżowaniu, przed stacją metra, ujrzałem olbrzymi samochód ciężarowy. Dwie głębokie koleiny w nie uprzątniętej z jezdni brei znaczyły drogę jego hamowania. Pod nim, wtłoczony między tylne koła, tkwił maciupki wóz sportowy. Prawa para potężnych kół zmiażdżyła mu maskę, lewa — bagażnik; most ciężarówki, który trafił w środek auta, oskalpował go z dachu. Właściciel wozu sportowego wyszedł z kraksy obronną ręką. Jedyny policjant, który przybył na miejsce wypadku, dreptał strapiony od kłócących się kierowców do swego samochodu i z powrotem i zerkał błagalnie na radiotelefon; więcej w nim było z bezradnego i zafrasowanego chłopaka niż z twardego gliny. Ta kraksa stanowiła zapowiedź tego, co się niebawem miało tu dziać. Spiętrzone wozy obojętnie mijali nieliczni piesi, jeszcze mniej ludzi było na Bright Field Station. Metrem żeśmy się dostali do Centrum City i prosto ze stacji kukła zaciągnęła mnie na komisariat. Odprowadziła mnie aż pod drzwi gabinetu komisarza Qverlessa, sama postanowiła czekać w holu.

Qverless rozmawiał naraz przez dwa telefony, wykręcał numer tarczą trzeciego i wzywał przez interkom swego zastępcę.

Nie zaszczycił mnie spojrzeniem. Załatwiał równocześnie cztery sprawy, co budziło wątpliwości, czy którąkolwiek z nich załatwi rzetelnie do końca. Przycupnąłem na krześle dla interesantów. Zastanawiałem się, od czego zacząć.

Wstęp o wieszającym manekinie ze śmietnika odpadał ze zrozumiałych względów, najbardziej prawdopodobnie by brzmiała wersja o siostrze, która w kościele podsłuchiwała rozmowę gangsterów. Przedstawiłem ją komisarzowi punkt po punkcie, zmyślając na poczekaniu rozmaite fakty; patrzył na mnie, ale niewiele do niego docierało, bo pogrążony był w zadumie. Kiedy skończyłem, ocknął się. Zmarszczył czoło, jakby z wysiłkiem kojarzył strzępy mojego zeznania, które wpadły mu do ucha; oczy mu zabłyśły, poprosił, żebym wszystko powtórzył. Chyba sytuacja była beznadziejna, skoro Qverless uchwycił się tych poszlak. Polecił zastępcy ściągnąć radiowóz, włożył pas z bronią, drugi rewolwer wetknął do kieszeni płaszcza. Spytał o siostrę; odpowiedziałem, że czeka w holu, bo jest osobą nieśmiałą i bojaźliwą, a przy tym nieco ekscentryczną, więc niech się on niczemu nie dziwi; w każdym razie można jej całkowicie ufać. Qverless zachował się taktownie, wskazał nam tylne miejsce w radiowozie i nie zadawał kłopotliwych pytań, poza niezbędnymi. Wyruszyliśmy w towarzystwie milczącego cywila uzbrojonego w licznik Geigera–Müllera. Radiowóz na zewnątrz wyglądał jak normalny samochód prywatny, dodatkowo, dla pełnej anonimowości, komisarz postawił go przecnicę przed katedrą, na płatnym parkingu. Do kościoła żeśmy weszli osobno: najpierw komisarz, po kilku minutach ja z kukłą, po nas — tajniak z licznikiem. Trzymał ten licznik za pazuchą, w uchu miał mikrośluchawkę.

Niewtajemniczeni wzięli go za faceta lekko stukniętego: tajniak spacerował skupiony od nawy do nawy, po każdym kursie przystawał naprzeciw głównego ołtarza, zginał pokornie kark i znów się przeciskał między rzędami ław — szczęściem kościół był pusty. Kroki tajniaka niosły się echem; Qverless śledził jego poczynania z kwaśną miną, jak myśliwy wandala płoszącego zwierzynę. Wreszcie zbliżył się do niego: poszeptali; tajniak kiwnął głową i skierował palec na posadzkę. Kukła nie kłamała. Komisarz kazał nam opuścić kościół, umieścić nas w swoim samochodzie, a potem wezwał posiłki. Nie upłynął kwadrans, kiedy katedrę otoczyły radiowozy. Dalej akcja rozwinęła się błyskawicznie. Księża o mało nie pomdleli, jak policjanci obstawili wejścia i wtargnęli do podziemi. Pomimo zakazu wymknąłem się z wozu komisarza, żeby nic nie stracić z tego widowiska. Niestety, do środka mnie nie wpuszczono. Kiedy wraz z rozpromienionym komisarzem żeśmy wrócili do radiowozu, kukły już nie było. Nie opodał, na kupie zgarniętego śniegu, leżało zwinięte moje ubranie, które kukła miała na sobie. Nie mam pojęcia, gdzie się podziała... Dokąd uciekła...

Tyle Vittorio Viterbi.

Pokuśmy się teraz o dopisanie zakończenia do owej historii. Może tym sposobem rozstrzygniemy kwestię Vittorio Viterbiego, wybawcy — nie przesadzam chyba — Bellingham. Wszelako wprzód przypomnijmy treść pewnej notatki, która 17 grudnia ubiegłego roku ukazała się na łamach tutejszej popołudniówki. Oto — jak relacjonuje korespondent „Special Messenger” — w godzinach rannych nad śródmieściem zaobserwowano niezidentyfikowany obiekt latający, podobny do tych, których klucz wieczorem dnia poprzedniego przelatywał nad naszym miastem. Sceptyczni z natury i wrogo do mnie nastawieni dziennikarze zapewne obsypią mnie szyderstwami, gdy stwierdzę, że manekin znaleziony przez Viterbiego przybył do nas na pokładzie UFO. Nie wiem, kto i w jakim celu przywiózł go na Ziemię, dlaczego akurat do Bellingham i dlaczego wybrano na desant tak osobliwe miejsce; może manekin przypadkowo wypadł z pojazdu, może zrzuciono go rozmyślnie, świadomie wybierając okolice domu Thomasa Dereka — znanego wynalazcy i konstruktora — aby manekin, to dzieło techniki o niebo przewyższającej technikę ludzką, pomógł Derekowi, mężowi najbardziej godnemu zaufania w Bellingham, zapobiec tragedii. Los atoli chciał inaczej; manekina odkrył Vittorio Viterbi. Wówczas Przybysze zdecydowali się na wprowadzenie korekt do postawionych przed manekinem zadań — podkreślam, iż nie usiłuję wyjaśnić, czego one pierwotnie rzeczywiście dotyczyły. Manekin wykonał je, po czym wrócił na pokład UFO (widzianego ranem).

Przybysze nie życzyli sobie, aby ich ingerencja została przez ludzi zauważona, zatem wymazali z pamięci Viterbiego przebieg tamtych wypadków. Operację wymazywania engramów przeprowadzili jednakże z drobną zwłoką, która przecież wystarczyła, aby Viterbi zdążył podzielić się ze mną swoimi przeżyciami. Wspomnianej operacji mógł dokonać manekin...

Ten sam manekin, który właśnie się zjawił w moim pokoiku...

Czuję na sobie jego nieruchome spojrzenie...

Boję się podnieść nań wzrok, aby nie sprowokować go...

Stoi i milczy...

Udaję, że jestem pochłonięty pisaniem...

Przeczytałem powyższy tekst. Zamierzałem napisać artykuł o aresztowaniu członków „Radioactive Gang”, napisałem zaś nowelkę — ewenement w mojej dotychczasowej twórczości. Nie do wiary. Ja, stary interpretator współczesnych realiów, dziennikarz z krwi i kości — dałem się ponieść fantazji! I ów manekin w kubie na śmieci! Manekin w kubie na śmieci... nedorzeczny pomysł. Aczkolwiek jakby skądś znany... Jakby znany...